Nr 3 (130) – B Rok 22

Maj-Czerwiec 2016

KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia
Волання з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Волання з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.
Redaktor naczelny: ks. Vitold-Yosif Kovaliv.
Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka, ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.
Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.
Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:
✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна
☎&Fax + 380 (3654) 2-30-38
E-mail: vykovaliv@gmail.com
http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/
Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.
ISSN 1429-4109
Adres oddziału redakcji w Polsce:
✉ Ośrodek "Wołanie z Wołynia",
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczyńców prosimy o wpłaty na konto:
Stowarzyszenie Ośrodek
"Wołanie z Wołynia"
PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC
nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

~ ~ ~

"Wołyński Słownik Biograficzny":
http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/

„Dziennik pisany nad Horyniem"
https://ostrog.blox.pl/

Jesteśmy na Facebook'u:
https://www.facebook.com/Wolanie

17 czerwca 2010-2016 - 106. rocznica urodzin Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby, kapłana z Zakonu OO. Kapucynów

SPIS TREŚCI

s. 3-4: Ks. Vitold-Yosif KOVALIV, *Niespodziewana śmierć Arcybiskupa Piotra Malczuka*

s. 5: *Życiorys Śp. Arcybiskupa Piotra Malczuka*

s. 6-10: Abp Mieczysław MOKRZYCKI, *Archidiecezja lwowska obrządku łacińskiego: najnowsza historia. 25 lat wolności, demokracji i dyskryminacji*

s. 11-19: Maria KALAS, *Ks. Władysław Bukowiński patronem wychowawców*

s. 20-21: Aldona PERKOWICZ-BARBACKA, *Olble*

s. 22-27: Paweł WYSZKOWSKI OMI, *Dziesiąta stacja. Rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego o. Ludwika Wrodarczyka OMI*

s. 28-35: Jarosław KOMOROWSKI, *Teatr szlachty wołyńskiej – teatr Kraszewskiego. Żytomierz 1857-1859*

s. 36-38: Łukasz GRON, *25. lecie odzyskania i przywrócenia do kultu Bożego katedry pw. Wniebowzięcia NMP w Odessie*

s. 39-42: Ks. Bronisław KANT SDB, *Moje wspomnienia o ks. Władysławie Bukowińskim*

s. 43-44: Kazimierz SZAŁATA, *Jubileusz Chrztu Polski w Łucku*

s. 45-48: Ks. Jarosław WISNIEWSKI, *Katolicki Disneyland czyli „Maćki Dobrzyńskie” albo: Czas Apokalipsy nad Śmierdzącym Morzem. Z Ługańska raport II-gi, ostatni*

WOLNOŚĆ I DEMOKRACJA

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2016 r.” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”

Z życia Kościoła na Ukrainie - З життя Церкви на Україні

NIESPODZIEWANA ŚMIERĆ ARCYBISKUPA PIOTRA MALCZUKA

Arcybiskup Piotr Malczuk wygłasza kazanie w czasie Mszy św. podczas sympozjum „Restaurare omnia in Christo". Worzel k. Kijowa, 29 kwietnia 2016 roku

Mszy św. pogrzebowej przewodniczył nuncjusz apostolski na Ukrainie arcybiskup Claudio Gugerotti

W nocy z 26 na 27 maja 2016 r. w Grodnie na Białorusi zmarł nagle i niespodziewanie arcybiskup Piotr Malczuk, ordynariusz diecezji kijowsko-żytomierskiej.

Ciało śp. ks. arcybiskupa zostało przywiezione z Białorusi w sobotę, 28 maja. W niedzielę, 29 maja 2016 r., Żytomierz pożegnał się ze swoim zmarłym Pasterzem. Pożegnalnej Mszy św., która rozpoczęła się o godz. 10.00 w Katedrze pw. św. Zofii, przewodniczył bp Jan Purwiński, emerytowany ordynariusz diecezji kijowsko-żytomierskiej, który „*porażał wytrzymałością i stałością…*".

W jednym z ostatnich wywiadów arcybiskup Piotr Malczuk powiedział dla ukraińskiego Radio Marija: „*zawsze trzeba być gotowym!*". Tydzień temu widziałem w Worzelu śp. Księdza Arcybiskupa, jak cieszył się ze sprawienia do kościoła seminaryjnego organów.

Pogrzeb Pasterza osieroconej diecezji kijowsko-żytomierskiej odbył się we wtorek, 31 maja 2016 r., w Kijowie. Mszy św. pogrzebowej przewodniczył nuncjusz

W dniu 27 maja 2016 r.
w 51 roku życia
odszedł do Pana
ś†p.
Ksiądz Arcybiskup
Petro Herkulan Malchuk OFM
Ordynariusz Kijowsko-Żytomierski
Msza święta pogrzebowa
odprawiona zostanie
31 maja br. (wtorek)
o godz. 11^{00}
w Kijowie, w konkatedrze św. Aleksandra

Złożenie ciała Zmarłego do grobu
odbędzie się w tym samym dniu
na terytorium
Wyższego Seminarium Duchownego w Worzelu

Prosimy o modlitwę za naszego Pasterza

Kuria Diecezji Kijowsko-Żytomierskiej

apostolicki na Ukrainie arcybiskup Claudio Gugerotti. Kazanie wygłosił metropolita lwowski arcybiskup Mieczysław Mokrzycki. Śp. arcybiskup Piotr Malczuk został pochowany na cmentarzu obok kościoła seminaryjnego w Worzelu k. Kijowa.

Uroczystość ta zmusiła wielu jej uczestników do refleksji nad kruchością ziemskiego życia, a przede wszystkim jego cennością. W czasie pogrzebu było wiele przemówień nt. Zmarłego dostojnika kościelnego. Wielu powtarzało, ze zawsze na jego twarzy gościł uśmiech i był bardzo gościnny i przyjemny w kontakcie.

Biskup Witalij Skomarowski, ordynariusz diecezji łuckiej, został w święto Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny mianowany administratorem apostolskim *sede vacante* diecezji kijowsko-żytomierskiej. Historia kolejny raz zatoczyła swe koło – na jakiś czas wracamy do sytuacji, że w Łucku i Żytomierzu jest ten sam biskup…

ks. Vitold-Yosif Kovaliv
Fot. Autora

Od redakcji:

W niedzielę, 29 maja 2016 r., podczas procesji Bożego Ciała, w Ostrogu nad Horyniem, ks. Vitold-Yosif Kovaliv przeczytał przy tradycyjnych ołtarzach „*Medytację arcybiskupa Piotra Malczuka podczas Nabożeństwa Eucharystycznego w Kijowie w dniu 26 maja 2012 roku*”, podzieloną na cztery części.

Wierni i mieszkańcy Kijowa przyszli pożegnać swojego Pasterza

Z życia Kościoła na Ukrainie - З життя Церкви на Україні

ŻYCIORYS ŚP. ARCYBISKUPA PIOTRA MALCZUKA

Piotr Malczuk urodził się 7 lipca 1965 w wiosce Słoboda-Raszków w Mołdawii w osiadłej tam od wieków rodzinie polskiej. Jego rodzinna wioska zasłynęła w czasach radzieckich, kiedy jej mieszkańcy usiłowali nielegalnie wybudować kościół, który został następnie zniszczony przez wojsko radzieckie. W czasie tych wydarzeń mały Piotr był zamknięty (uwięziony) z kolegami w szkole. Po ukończeniu szkoły średniej i odbyciu zasadniczej służby wojskowej rozpoczął w 1986 r. naukę w seminarium duchownym w Rydze – jednym z dwóch w ówczesnym ZSRR (obok Kowna), a jedynym, które przyjmowało kandydatów do kapłaństwa z całego Związku Sowieckiego (kowieńskie było otwarte tylko dla obywateli Litewskiej SRR). Dnia 3 stycznia 1989 r. wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych (franciszkanów – OFM), w którym następnie przyjął imię Herkulan. Święcenia kapłańskie otrzymał 7 czerwca 1992 r., już po upadku ZSRR.

W latach 1992-1998 kontynuował wykształcenie na Papieskim Uniwersytecie Antonianum w Rzymie, uzyskując tam stopień doktora teologii. Napisał pracę z historii franciszkanów w Besarabii. Po powrocie do kraju pracował najpierw jako wikariusz w parafii św. Anny w Połonnem, po czym w latach 1999-2004 stał na czele kustodii franciszkańskiej na Ukrainie, w latach 2004-2007 był przełożonym tamtejszej prowincji Braci Mniejszych św. Michała Archanioła, a w okresie 2007-2008 był jej ekonomem.

29 marca 2008 Benedykt XVI mianował o. Herkulana Piotra Malczuka biskupem pomocniczym diecezji odesko-symferopolskiej (sakrę nominat przyjął 3 maja tegoż roku, konsekratorami byli kard. Marian Jaworski i bp Bronisław Bernacki), a 15 czerwca 2011 przeniósł na urząd ordynariusza kijowsko-żytomierskiego, przyznając mu jednocześnie tytuł arcybiskupa „*ad personam*”. ■

Arcybiskup Piotr Malczuk składa podziękowanie uczestnikom sympozjum „Restaurare omnia in Christo”. Worzel k. Kijowa, 29 kwietnia 2016 roku

Fot. ks. Vitold-Yosif Kovaliv

Z życia Kościoła na Wołyniu - З життя Церкви на Волині

ARCHIDIECEZJA LWOWSKA OBRZĄDKU ŁACIŃSKIEGO: NAJNOWSZA HISTORIA. 25 LAT WOLNOŚCI, DEMOKRACJI I DYSKRYMINACJI

ODRODZENIE

Będąc we Lwowie w 2001 r. św. Jan Paweł II wypowiedział słynne słowa skierowane do lwowskiego Kościoła łacińskiego: „*Duc in altum! Wypłyń na głębię, wypłyń na głębię lwowski Kościele łaciński! Pan jest z Tobą! Nie lękaj się trudności, które także dzisiaj stają na twej drodze. Z Chrystusem odniesiesz zwycięstwo! Odważnie dąż do świętości: w niej kryje się niezawodna obietnica prawdziwego pokoju i trwałego postępu* […] *Lwowski Kościele łaciński, niech się wstawiają za tobą wszyscy święci i święte, którzy wzbogacili twoje dzieje. Niech cię otaczają szczególną opieką błogosławieni arcybiskup Jakub Strzemię i Józef Bilczewski wraz z księdzem Zygmuntem Gorazdowskim. Kościele lwowski, idź naprzód z ufnością w imię Chrystusa, Odkupiciela świata i człowieka*".

Słowa te były skierowane do Kościoła, który dopiero od dziesięciu lat został przywrócony do życia po latach szykan i represji doświadczanych w państwie ateistycznym. Miał on zniknąć z oblicza ziemi zgodnie z zamiarami władców komunistycznych, którzy po II wojnie światowej zagarnęli tereny, na których metropolia lwowska prawie 600 lat była ważnym czynnikiem utrwalającym chrześcijaństwo i podwaliny cywilizacji europejskiej, łacińskiej. Komuniści wypędzili ze Lwowa pasterza archidiecezji abpa Eugeniusza Baziaka, pozamykali seminaria, pozabierali i pozamykali kościoły, poddali represjom duchowieństwo i wiernych. Społeczność katolicką, przeważająco polską wyrzucono z rodzimych terenów po nieludzkich eksterminacjach z czasów II wojny światowej.

W czasach komunistycznych na terenach archidiecezji pozostających w składzie ZSRR było czynnych 12 świątyń, pracowało kilku duchownych, nieustannie prześladowanych i ograniczanych w możliwościach niesienia posługi duszpasterskiej.

Sytuacja ta uległa zmianie po upadku Związku Radzieckiego. Wolność religijna proklamowana w niepodległym państwie ukraińskim odmieniła los naszego Kościoła. Dzięki trosce św. Jana Pawła II doszło do reaktywowania struktur archidiecezji lwowskiej. 16 stycznia 1991 r. został mianowany ks. bp Marian Jaworski metropolitą arcybiskupem lwowskim, a o. Rafał Kiernicki i ks. Marcjan Trofimiak powołani na jego biskupów pomocniczych. Liczba świątyń w tym roku wzrosła do ponad 80, a dzięki wsparciu duchowieństwa z Polski ożywiła się praca duszpasterska.

Obecnie archidiecezja lwowska liczy około 250.000 wiernych, 305 parafii i placówek duszpasterskich (107 parafii)

wśród których pracuje 194 duchownych diecezjalnych i zakonnych. W pracy duszpasterskiej wspiera ich ponad 50 sióstr zakonnych. Wraz z arcybiskupem metropolitą steruje Kościołem lwowskim biskup pomocniczy a także arcybiskup senior wyróżniony godnością kardynalską. Działa Wyższe Seminarium Duchowne a także Instytut Teologiczny im. św. Józefa Bilczewskiego ściśle współpracujący z KUL. Rozwija się wiele inicjatyw kościelnych o charakterze charytatywnym, oświatowym, wychowawczym oraz duszpasterskim.

TRADYCJA

Nasza obecność na Ziemi Lwowskiej jest kontynuacją wielkiej tradycji, o której wspomniałem wcześniej. Pamiętamy iż metropolia lwowska była drugą po gnieźnieńskiej w polskiej hierarchii kościelnej, o czym warto pamiętać z racji na jubileusz 1050-lecia Chrztu Polski. Równo miesiąc dzieli nas od uroczystych obchodów 360-tej rocznicy ślubów Jana Kazimierza złożonych w katedrze lwowskiej. Z naszego miasta wyszło wezwanie maryjne „*Królowo Polski, módl się za nami*" powtarzane w te majowe dni we wszystkich świątyniach polskich.

Również liczne sanktuaria i miejsca odpustowe wpisane do narodowej tradycji religijnej mają lwowski rodowód. Obok obrazu Matki Boskiej Łaskawej, przed którym król Jan Kazimierz składał swe słynne śluby pamiętamy o Panu Jezusie Milatyńskim, Matce Boskiej Podkamienieckiej, Madonnie Jackowej, Matce Boskiej Kochawińskiej i Jazłowieckiej w prześlicznym posągu oraz licznych sanktuariach świętych, do których nasi przodkowie podążali w barwnych malowniczych procesjach odpustowych, a kult których dość często jest kontynuowany na obecnych ziemiach polskich. Tradycję Kościoła lwowskiego uświetnili święci i błogosławieni, będący chlubą chrześcijaństwa powszechnego. Pobożny budowniczy archidiecezji bł. Jakub Strzemię rozpoczął ten poczet, w którym znaleźli się św. Jan z Dukli, św. Józef Bilczewski, św. Zygmunt Gorazdowski, bł. Marta Wiecka i bł. Marcelina Darowska.

Nierozerwalnie zapisane są w historię lwowską imiona św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, św. Jana Beyzyma, św. Maksymiliana Kolbe, św. Jana Pawła II, konsekrowanego na biskupa przez abp E. Baziaka. Pozostaje jeszcze rzesza znanych i nieznanych z imienia męczenników i wyznawców wiary czasów wojny i prześladowań komunistycznych. Nie sposób nie wspomnieć w tym miejscu Sługi Bożego o. Rafała Kiernickiego czy ks. prof. Henryka Mosinga.

Z tradycją archidiecezji lwowskiej nierozerwalnie związane są nurty umysłowe i naukowe ożywiające myśl teologiczną na Wydziale Teologii Uniwersytetu Jana Kazimierza czy w Polskim Towarzystwie Teologicznym.

MISJA

W nowych warunkach dziejowo-społecznych nasz Kościół otwiera się na potrzeby społeczeństwa, wśród którego realizuje swą misję. W archidiecezji jest czynnych 308 parafii.

Do obszarów tradycyjnej aktywności Kościoła łacińskiego należy dobroczynność, która realizuje się w następujących formach: działają ośrodki Caritas, rodzinne domy dziecka, przedszkola, ochronki, kuchnie dla ubogich, punkty sanitarne, ośrodki dla uzależnionych. W budowie jest noclegownia dla bezdomnych i dom spokojnej starości.

Wierny swej misji nadprzyrodzonej Kościół głosi Ewangelię wszystkim, bez względu na pochodzenie i język. Tradycyjny podział na „*Kościół polski*" i „*Cer-*

kiew ukraińską" na skutek globalnych zmian odchodzi w przeszłość. Spora część naszych wiernych posługuje się językiem ukraińskim, rosyjskim, węgierskim, słowackim, a spora grupa studentów z Afryki objęta jest duszpasterstwem angielskojęzycznym. W miarę potrzeby zapewniamy im możliwość duszpasterstwa w rodzimym języku, nie podważając dominującej roli języka polskiego i świadomości powiązania z polską tradycją religijną wśród naszych wiernych. W tym miejscu należy stanowczo zdementować krzywdzące słuchy o rzekomym rugowaniu polskości z życia religijnego w archidiecezji lwowskiej.

Nasz Kościół szczególnie zaistniał w świadomości społecznej Ukrainy w kontekście wojny i dramatu humanitarnego spowodowanego nasilającym się kryzysem. Wraz z innymi hierarchami katolickimi stanowczo wypowiedzieliśmy się za przywróceniem sprawiedliwości społecznej w czasie sprzeciwu na kijowskim Majdanie, włączyliśmy się w akcję niesienia pomocy medycznej, charytatywnej, żywnościowej itd. Prawdę o cierpieniu narodu Ukrainy donosimy na różnych forach międzynarodowych do środowisk kościelnych, informujemy o tym ojca świętego.

Mimo, iż stanowimy obecnie Kościół mniejszościowy na terenach naszej archidiecezji, nie sposób nie dostrzec naszej obecności w życiu kulturowym, rozwoju życia duchowego społeczności Lwowa i Ukrainy. Wielkim zainteresowaniem cieszą się koncerty muzyki religijnej, które odbywają się w katedrze lwowskie, Operze, w wielu kościołach parafialnych. Niejednokrotnie zaszczycali nas swymi koncertami zespoły z Polski i wybitni mistrzowie świata muzyki. Co roku organizowany jest Tydzień Kultury Chrześcijańskiej.

Pamiętając o pięknej dawnej lwowskiej tradycji wielokulturowości, tolerancji, jedności chrześcijańskiej przekraczającej podziały na obrządki i nacje włączamy się w różne akcje natury ekumenicznej, dialog międzywyznaniowy. Do tradycji należą wspólne modlitwy z okazji świąt państwowych, uroczystości lokalnych wspólnot, nabożeństwo ekumeniczne z okazji Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan. We Lwowie jesteśmy jedyną konfesją, która organizuje na tak szeroka skalę to nabożeństwo.

PROBLEMY CODZIENNOŚCI

Kościół katolicki obrządku łacińskiego jest jednym z wielu Kościołów na Ukrainie, który zgodnie z konstytucją jest równy wobec prawa z innymi wspólnotami religijnymi. Jako wyznanie, które doświadczyło represji ze strony władz komunistycznych ma prawo do zadośćuczynienia i zwrotu majątków i dóbr bezprawnie zabranych. Gwarantują to kolejne zarządzenia i ustawy podejmowane przez władze ukraińskie. M.in. mówią o tym dekrety Prezydenta Ukrainy z 1992, 1996 r. i inne.

Rzeczywistość niestety pokazuje, że mimo upadku totalitarnego systemu pozostały totalitarne tryby myślenia głęboko zakorzenione w świadomości sporej części społeczeństwa, w tym przedstawicieli władz a nawet środowisk chrześcijańskich. Można dostrzec nieprzyjazną czy wręcz wrogą postawę w stosunku do Kościoła rzymskokatolickiego lokalnych władz w wielu miejscowościach naszej archidiecezji, w tym przede wszystkim we Lwowie.

Od skandalicznej obstrukcji ze strony lwowskich władz rozpoczął swą posługę ks. abp Marian Jaworski, któremu uniemożliwiono dostojne odbycie ingresu do swej katedry. Ta gorsząca informacja dotarła do papieża Jana Pawła II, który był bardzo zasmucony niegodziwą postawą

wobec skierowanego przez niego pasterza, którego darzył wielkim szacunkiem i osobistą przyjaźnią.

Szczególne nasze zaniepokojenie wywołuje sytuacja świątyń zabranych Kościołowi przez ateistów i teraz bezprawnie utrzymywanych przez władze deklarujące swe przywiązanie do religii i życzliwość Kościołowi. Smutną wymowę ma fakt, że dwie świątynie – katedra i kościół św. Antoniego, które zostawili nam komuniści w czasach najgorszych antyreligijnych nagonek, nadal pozostają jedynymi kościołami należącymi do rzymskokatolickiej wspólnoty w historycznej części Lwowa. Za ćwierćwiecze demokracji żadna ze świątyń nie powróciła do nas mimo usilnych zabiegów i starań.

Skandaliczny wydźwięk ma bezprawne i uporczywe zatrzymywanie kościoła św. Marii Magdaleny jako sali organowej. Sytuacja ta hańbi władze miasta szczycące się europejskością i nawiązujące do lwowskiej spuścizny wielokulturowości i tolerancji.

To, że katolicy – parafianie kościoła św. Antoniego dochodzą swych praw w Strasburgu – próbując odzyskać należące do ich parafii budynki nie świadczy dobrze o poszanowaniu praw człowieka, w tym mniejszości narodowych i wyznaniowych w mieście tak bardzo związanym swą historią z łacińską tradycją kościelną. Atmosfera dawnego miasta nazywanego kiedyś urbs catholicissima jest ustawicznie zatruwana kwasem braku sprawiedliwości wobec rzymskich katolików, czego przykrym obrazem może być katedra łacińska, która o porze wieczornej, jako jedyna ze świątyń w śródmieścia nie została podświetlona przez władze miasta. Inne świątynie należące do większościowych wyznań zostały podświetlone przez władze Lwowa.

Próba zaćmienia katolickiej i łacińskiej tradycji Lwowa widoczna jest w różnych przejawach. Władze miasta wykorzystują swoje prerogatywy, żeby wyeliminować elementy tradycji rzymskokatolickiej z przestrzeni publicznej Lwowa. Jak można wytłumaczyć brak zgody na powrót na właściwe miejsce na kolumnę przed kościołem bernardynów posągu św. Jana z Dukli, kiedyś głównego patrona grodu lwowskiego. Usunięty przez komunistów posąg świętego orędownika pozostaje w ukryciu z racji na nacjonalistyczne antypolskie ciągotki lwowskich radnych. Podobna sytuacja dotyczy innego wielkiego lwowianina – św. Józefa Bilczewskiego, arcybiskupa, uczonego, rektora uniwersytetu lwowskiego, społecznika żądającego sprawiedliwości wobec najuboższych. Na moją prośbę o nadanie imienia tego świętego placowi przed Kurią Metropolitalną władze odpowiedziały odmową.

Niestety brak dobrej woli przekłada się także na relacje między konfesyjne. Szczególnie bolesnym jest to, że większość naszych świątyń bezprawnie przejął Kościół greckokatolicki, który w czasach prześladowań i represji komunistycznych tyle doświadczył życzliwości ze strony rzymskich katolików. Kościoły są nam zabierane dzięki wsparciu władz, dość często dochodzi do sytuacji skandalicznych i gorszących. Przykładem może być casus kościoła w Komarnie, zabranego łacinnikom przez grekokatolików w sytuacji posiadania przez nich już kilku świątyń. Dość często jedyną motywacją nie oddawania nam świątyń jest hasło „*nie oddać kościoła Polakom*”. Jak inaczej można wytłumaczyć fakt zabrania nam kościoła MB Gromnicznej przylegającego do łacińskiej Lwowskiej Kurii Metropolitalnej. Ci, którzy naprędce utworzyli parafię greckokatolicką za ścianą Kurii nie wstydzą się rażącej nienormalności tego stanu

rzeczy, który ze zgorszeniem na co dzień obserwują mieszkańcy miasta i turyści.

Zastanawiającym jest brak właściwej postawy hierarchii greckokatolickiej, nie tylko nie próbującej wprowadzić ład i sprawiedliwość wobec współbraci chrześcijan, katolików, ale, można odnieść wrażenie, popierającej ten stan rzeczy. Bo jak można ocenić ten fakt, że mimo próśb papieża Benedykta XVI o oddanie kościoła MB Gromnicznej prawowitym właścicielom, nie nastąpiły żadne zmiany.

Liczne kościoły zabrane nam przez grekokatolików są przebudowywane i niszczone. Tracą one pierwotny wygląd architektoniczny bądź wręcz się zawalają pod masywnymi, nieproporcjonalnymi kopułami, które mają zaświadczyć o ich „*cerkiewności*". W ten sposób bezpowrotnie znikają zabytki architektury, które przetrwały najgorsze czasy ateistycznego komunizmu i zostały zgładzone w okresie demokracji i rzekomej europeizacji społeczeństwa.

Na dzień dzisiejszy Kościół greckokatolicki bezprawnie użytkuje dziesiątki naszych świątyń. Jest to przykre stwierdzenie ale niestety prawdziwe.

ZAKOŃCZENIE

Przedstawiając, z racji na jubileusz dwudziestopięciolecia odnowienia struktur Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie sytuację obecną naszego Kościoła, w tak szacownej społeczności akademickiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, chciałem przybliżyć Państwu stan obecny archidiecezji lwowskiej.

Przypominając wielką tradycję i zmartwychwstanie naszego Kościoła, chciałem także, żeby zostały zauważone kwestie problemowe, których doświadczamy na co dzień. Wiadomo, że siły dla trwania i przetrwania trudnych chwil dodaje życzliwość ludzka i solidarność. Łatwo zdobyć poparcie w chwilach otwartej walki czy represji. Natomiast na cichą dyskryminację dość często przymyka się oczy „*dla dobra wyższego*", dla zachowania pozorów poprawności politycznej.

Dlatego w sposób szczególny chciałbym podziękować radnym Miasta Lublin za zajęcie stanowiska w sprawie sytuacji Kościoła rzymskokatolickiego we Lwowie. Ręka wyciągnięta do nas będzie także pomocną dłonią dla władz samorządowych Lwowa wskazującą nieprawidłowości i nadużycia, które nie powinny się pojawiać w demokratycznych społeczeństwach. Dziękuję społeczności KUL za zaproszenie i organizowanie dzisiejszego sympozjum. Szczególnie chciałby pogratulować powstaniu inicjatywy Instytutu Pamięci i Dziedzictwa Kresowego w Lublinie. Myślę, że powstanie solidny ośrodek naukowo-badawczy, w zakresie zainteresowań którego będą sprawy Kościoła lwowskiego – te chwalebne i heroiczne, jak codzienność współczesna naznaczona wieloma problemami.

✠ ***Abp Mieczysław Mokrzycki***
Metropolita Lwowski
obrządku łacińskiego

Lwów, 9 maja 2016 r.

Do beatyfikacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego

До беатифікації Слуги Божого о. Владислава Буковинського

KS. WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI PATRONEM WYCHOWAWCÓW

Ks. Władysław Bukowiński wśród dzieci w Karagandzie
Fot. udostepniona przez rodzinę Gałganów

Wnoszę o ustanowienie ks. Władysława Bukowińskiego patronem wychowawców.

Ksiądz Władysław Bukowiński był wychowawcą kilku pokoleń młodych katolików różnych narodowości. Była to istotna cecha jego kapłańskiego powołania.

Był wychowawcą „*integralnym*" – łączył pasję kapłańskiego posługiwania i głoszenia prawdy Ewangelii młodemu pokoleniu z oddaniem całego siebie, bez reszty, głęboko prawdziwie osobom, do których został posłany. Wszelkie sprawy wychowawcze, które ofiarnie podejmował, widział zawsze w odniesieniu do Boga, przed Nim stając i stawiając niejako młode osoby. Jednocześnie był bardzo zaangażowany w trudne, codzienne sprawy rodzin, którym posługiwał. Parafrazując słowa na temat miłości nieprzyjaciół: „*nie była to tylko teoria*" w jego życiu, ale pragnienie i rzeczywistość jego kapłańskiego serca. To, co pisał o swoim wiel-

kim szczęściu i wdzięczności Opatrzności Bożej w odniesieniu do łaski posługiwania najbiedniejszym i najbardziej opuszczonym wiernym należy tym bardziej odnieść do młodych i najmłodszych katolików różnej narodowości. Czynił tak od czasu pierwszej pracy jako katecheta w gimnazjum w Rabce do swojej śmierci. Pisał bowiem: „*Prześladowanie wiary nie jest największym niebezpieczeństwem. Jest nim odseparowanie dzieci i młodzieży, by one nigdy nie miały możności poznać Boga*".

Ks. Władysław Bukowiński wychowywał młodych ludzi poprzez rodzinę i szkołę, a w obu tych środowiskach przez nawiązywanie i podtrzymywanie głębokich osobistych kontaktów. Obdarzał dzieci i młodzież szczególną troską i miłością obejmującą wszystkie aspekty życia i dorastania, w wymiarze ludzkim i duchowym. „*Przygotowywał je na wszelkie okoliczności, zarówno w zakresie duchowym, jak i praktycznym, a czynił to wszystko z wielką dobrocią i miłością*" – wspomina s. M. Teresa Bitz. Oddziaływał na młodego człowieka poprzez ewangelizację całej rodziny i poprzez to oddziaływanie odnawiał tę rodzinę i budował wokół Chrystusa; tworząc najlepsze środowisko dorastania. Sprawom tym poświęcał bardzo dużo uwagi w swoich relacjach z Kazachstanu i listach do przyjaciół, a także wcześniej, w artykułach o wychowaniu zamieszczanych w „Życiu Katolickim", gdy był wykładowcą katechetyki w łuckim seminarium. Realizował te rzeczy jako katecheta i jako duszpasterz rodzin zesłańców w Kazachstanie.

Przez sprawowaną opiekę duszpasterską, dzielenie wspólnego losu, znoszone cierpienia i prześladowania – stawał się niejako członkiem rodziny, kimś najbliższym, „*domowym*", jak powie o nim po latach świadek, jedno z jego „*dzieci*". Ta bliskość, tak młodemu człowiekowi potrzeba, niejako wyraz Bożej czułości była niezwykle ważnym składnikiem wychowawczego posługiwania Księdza. Nie wynikała ona tylko z okoliczności narzuconych z zewnątrz. Była częścią wewnętrznego usposobienia ks. Władysława, który w listach do przyjaciół pisał „*I u nas jest przecudne świętych obcowanie...*", czy we wspomnieniach zwierzał się z najbardziej intymnych przeżyć: łez szczęścia z powodu łaski posługiwania najbardziej opuszczonym i sponiewieranym zesłańcom.

W różnych niesprzyjających dla młodych okolicznościach – nieznajomości wiary ze strony najbliższych, ośmieszania jej w szkole, w środkach masowego przekazu, wrogości, donosicielstwa i zagrożenia karą oraz bardzo trudnych warunków materialnych podpowiadał rodzicom metody skutecznego jej przekazywania – sam niejako taką metodę uosabiał. Czynił to w sposób bohaterski, niezłomny, mimo szykan i prześladowań, w tym więzienia, łagrów i wypędzeń a także życia w codzienności pozbawionej stabilizacji, w zagrożeniu utratą kruchej wolności. Za każdym razem, gdy zostawał aresztowany, przekazywanie wiary dzieciom i młodzieży do lat 18-tu znajdowało się wśród najważniejszych zarzutów, bowiem w ZSRR było ono surowo zabronione. Zagrożony aresztowaniem za gromadzenie wokół siebie grupek dzieci i młodzieży – wybierał więzienie.

Ks. Bukowiński był obdarzony przedziwną głębią poznania i rozumienia duszy dziecka, nawiązywał z nim głęboką więź. Uczył roztropności, ale i przez własny przykład budził odwagę i poczucie godności. Sumienia kształtował m. in. w sakramencie pokuty, zawsze wiedział tu, jak wspomina ówczesna młoda penitentka, „*jak i o co zapytać*", a przez owo dokładne i umiejętne wskazywanie na Boże

wartości zwykłych okoliczności życiowych budował poczucie odpowiedzialności oraz więzi rodzinne i społeczne. Oddziaływał pełnią bogatej osobowości, mądrością i zarazem pokorą. Świadek, ówczesny ministrant księdza w Karagandzie powiedział: „*Był naszym nauczycielem (...) Dziwić się jego pokorze, dziwić się, jak on to przyjmował. Ksiądz był... z takim poczuciem, poznaniem ludzkiej duszy… Umiał zawsze doradzić, dopomóc. Ksiądz prawdziwy*".

Oddziaływał na młodych przez głoszone słowo i osobiste świadectwo

Celnie określono jego przepowiadanie prorockim. Pełnił naturalną dla siebie rolę przewodnika i wychowawcy, w szerszym rozumieniu tego słowa, także dla swoich przyjaciół, osób rozeznających swoje powołanie i innych wiernych, z którymi się spotykał. Dla środowiska dawnego Akademickiego Koła Kresowego pozostał do końca życia duchowym przywódcą, wiernym ideałom młodości, kształtującym nadal postawy i wskazującym kierunek.

Dla młodego pokolenia był wielkim nauczycielem miłości Boga i bliźniego, w tym miłości nieprzyjaciół. Przez swoje pedagogiczne działania przekazywał młodym ludziom znajomość historii ojczystej, zaszczepiał i podtrzymywał ideę jagiellońską, miłość do Kresów, dumę narodową. Krzewił i podtrzymywał znajomość języka polskiego wśród polskich dzieci w Kazachstanie, przez wierność modlitwom w języku polskim, naukę katechizmu i sprowadzanie elementarzy.

Czynił to zarówno jako prefekt i katecheta szkół przedwojennych, wykładowca katechetyki w Wyższym Seminarium Duchownym w Łucku, autor artykułów poświęconych wychowaniu katolickiemu w diecezjalnym „Życiu Katolickim", bliski współpracownik biskupa ordynariusza Adolfa Piotra Szelążka, wielorako zaangażowanego w sprawy wychowania katolickiego. Jako proboszcz łuckiej katedry w czasie obu okupacji prowadził zabronione lekcje religii i historii ojczystej, przygotowywał dzieci do tajnej I Komunii św. W tym samym czasie był szczególnym opiekunem dzieci z rodzin zagrożonych wywózką. Modlił się wspólnie z nimi, dzielił życiowe troski, pocieszał w strapieniach, dokarmiał, dzieląc się swoimi skromnymi środkami. W sposób jasny i celny przekazywał najważniejsze prawdy zapamiętane przez dzieci na całe życie.

W czasie niemieckiej okupacji zorganizował szpital dla chorych dzieci w pomieszczeniach przykatedralnych, niósł im i ich rodzinom pomoc w ramach zorganizowanego przez siebie komitetu opieki dla biednych. Uratował wiele żydowskich dzieci organizując pomoc i rozwożąc je osobiście po okolicznych polskich rodzinach

Gdy został po raz drugi aresztowany i skazany na dziesięć lat obozu pracy, oddziaływał wychowawczo na młodych współwięźniów przygotowując ich do sakramentów św., wpierając duchowo i dzieląc się żywnością z otrzymywanych paczek. Z myślą o nich i innych młodych zesłańcach napisał w ostatnim roku pobytu w obozie w Dżezkazganie podręcznik historii Polski o znamiennym tytule „*Historia nauczycielką życia*". Z tego podręcznika później ręcznie przepisywanego młodzież uczyła się umiłowania ojczystej historii.

Swoje duszpasterskie działania wychowawcze rozwinął w całej pełni i prowadził w Karagandzie, i w czasie podróży misyjnych.

Dzisiaj, w czasach trudności w znalezieniu drogi do serca młodego człowieka, zwątpienia w sens przekazywania wiary, zaniku potrzeby ideałów, zaburzeń relacji międzypokoleniowych, zerwanych

więzi, niewiary w potrzebę autorytetu, swoistej „*bezdomności*" młodego pokolenia, ale i pragnienia napotkania świadków wiary przykład ojcowskiego, kapłańskiego oddziaływania ks. Bukowińskiego może stać się inspiracją dla działań wychowawczych i natchnieniem dla młodego pokolenia.

Ks. Bukowiński podejmował rolę przewodnika duchowego począwszy od lat studenckich, kiedy współzakładał i aktywnie działał w Akademickim Kole Kresowym, pomagając materialnie, ale i służąc duchową opieką i radą kolegom i koleżankom w nim zrzeszonym. W jednodniówce „*O przyszłość sprawy kresowej*" trafnie diagnozował sytuację społeczno – narodowościową na Kresach, śmiało stawiał postulaty silnej władzy opartej na przestrzeganiu prawa i poszanowaniu praw ludności ukraińskiej, i napominał: „*Pamiętajmy o setkach tysięcy naszych Braci po tamtej stronie czerwonego kordonu: nie mamy prawa marnować ich męczeństwa*".

Był wychowawcą ideowym. W Gimnazjum św. Teresy w Rabce, pierwszym miejscu posługi duszpasterskiej, jako prefekt, katecheta i założyciel szkolnego koła „Caritasu" łączył pasjonujące, według własnej metody przekazywanie wiary z czynnym uwrażliwianiem uczennic na los pokrzywdzonych i biednych. Wiele wychowanek chciało potem studiować teologię i uczęszczało na poranne, nieobowiązkowe Msze św. odprawiane przez ks. Władysława w szkolnej kaplicy. Organizował i inspirował pomoc młodych członkiń koła dla okolicznych biednych rodzin góralskich, ociemniałych dzieci w Laskach oraz ubogich dzieci polskich na Kresach. Dziewczęta przez dwie godziny w trakcie spotkań szyły odzież i robiły na drutach swetry. W ten „*warsztatowy*", praktyczny sposób zaszczepiał miłość dla potrzebujących, a też rozwijał zainteresowanie Kresami. Zresztą ideały jagiellońskie tj. wierność sumieniu, „*tolerancję i poszanowanie przekonań innych ludzi*", jak je potem opisze jedna z uczennic, przekazywał młodzieży również w interesujących wykładach. Po objęciu katedry katechetyki w łuckim seminarium zapraszał swoje ósmoklasistki „jagiellonki" na Wołyń, by mogły lepiej poznać ówczesne rubieże państwa, a chyba, jak wynika z jego listów, miał zamiar zapoznania z uczennicami studentów- seminarzystów, którym przekazywał swoją metodę nauczania religii. Z drugiej zaś strony chciał pokazać dziewczętom wypracowywaną przez siebie metodę w czasie lekcji pokazowych z udziałem kleryków.

Duszpasterstwo prowadzone przez ks. Bukowińskiego formowało całego człowieka. Jest wiele przekazów mówiących, jak Ksiądz oddziaływał swoją dobrocią i odwagą na zalęknione dzieci. Pani Teresa Kaszczyszyn na przykład wspomina lekcje religii w popękanej od bomb katedrze łuckiej w 1941 roku. „*Zapamiętałam twarz ks. Władysława Bukowińskiego. Uśmiechnięty tulił wszystkie dzieci i mówił «nie wolno wam się bać. Matka Boża was ocali i obroni»*". Inna uczestniczka potajemnych nauk przygotowujących dzieci do I Komunii św. wspomina: „*Byłam dzieckiem niezwykle nieśmiałym, a wtedy dodatkowo zmarznięta i bardzo przejęta. Pamiętam, że Ksiądz nas przywitał. Był duży, patrzył na mnie uważnie, ale jego uśmiech spowodował, że się uspokoiłam. On promieniował spokojem i dobrocią*". Pani Anna Zarębowa wspomina dalej proste i celne nauki Księdza, dotyczące najważniejszych życiowych spraw: „*Mówił nam o miłości Pana Jezusa do dzieci, a ja słuchałam tego i czułam, że to jest ważne. Myślę, że Ksiądz dużo mówił na temat kłamstwa i prawdy, bo zapamięta-*

łam to jako najważniejszą życiową cnotę". Czy też podobne wspomnienie z Łucka Alicji Moskalowej, którą proboszcz łuckiej katedry jako dziewczynkę bez rodziców, zagubioną w okupowanym Łucku, dożywiał, dzieląc się swoją skromną porcją jedzenia: „*Modliłam się w tych strasznych latach żarliwie (...). W Łucku – do Matki Boskiej Latyczowskiej, przed której obrazem nieraz z księdzem proboszczem klęczeliśmy razem*". To łączenie duchowego oddziaływania, wskazywania konieczności mówienia prawdy z wymiarem czysto ludzkim, zapewnianie dzieciom poczucia bezpieczeństwa, opieki materialnej, dawanie przykładu odwagi, było charakterystycznym rysem troski pasterskiej księdza.

Różnorodne są aspekty wychowawczej pracy ks. Bukowińskiego. Chciałabym tu przybliżyć kilka z nich.

Posłużę się dwoma świadectwami złożonymi przez niego samego, wobec środowiska, dla którego do końca życia pozostał duchowym przywódcą i jak gdyby strażnikiem sumień. Przyjacielem, ale i szczególnym wychowawcą, choć w tym wypadku chodzi o osoby już dojrzałe.

Pisał w liście do Marii Żurowskiej, dawnej członkini AKK: „*Głos nasz u schyłku życia powinien brzmieć jak głos sumienia – może nie zawsze miły i pożądany, lecz zawsze głęboko prawdziwy i uczciwy. A póki żyjemy – służmy naszym ideałom*". Brzmi w tych słowach głęboki ton napomnienia. To wezwanie do wierności, świadectwo prawdzie, okupione trzynastoma latami pobytów w łagrach, dobrowolnym wyborem życia w ZSRR, poniewierką i utratą zdrowia było jednoczenie głęboką i prawdziwą lekcją owej wierności sumieniu, jakiej udzielał współczesnym; to samo już czyniło z niego wychowawcę i nauczyciela.

Apostoł Kazachstanu

Fot. Archiwum

W jednym z listów do owej pani Żurowskiej, mieszkającej w Krakowie, powie o swojej niewygasłej miłości do idei jagiellońskiej, że jest jej wierny już nie tylko słowami, ale „*dobrymi uczynkami i cierpieniami. (...) A że bez blasku i częstokroć w poniżeniu – tym lepiej, zwłaszcza w myśl nauki Krzyża*". Słowa te współbrzmią ze świadectwem, jakie złożyła pani Anna Gałgan, z domu Kaczanowska, w której domu rodzinnym w Karagandzie ksiądz odprawiał wiele razy Msze św. i zatrzymywał się na noc. Udzielił jej, jak i innym dzieciom, sakramentu chrztu św., I Komunii, bierzmowania. Nawiasem mówiąc ks. Władysław corocznie w Karagandzie doprowadzał dwie setki dzieci do I Komunii. Otóż pani Anna opisu-

je: „*Kiedy Ksiądz wrócił, miał odmrożone nogi, na kolanach zrobiły się gule wielkości kurzego jajka. Z wielkim trudem klękał. Żeby przyklęknąć, opierał się o ołtarz. Ale póki mógł, klękał. Cierpiał wiele, wszyscy na to patrzyli*". A pan Wiktor Gałgan, ongiś mały ministrant księdza, dodaje: „*Był naszym nauczycielem. Wiele wycierpiał za wiarę, sam miał mocne przeżycia. Nie miał normalnego życia. Był jednym z nas. (...) Ksiądz prawdziwy*". Przyjęcie cierpień, podzielenie losu, aby przekazywać młodym wiarę i sprawować sakramenty było źródłem zaufania dzieci i ich miłości. Budowało głębokie porozumienie i głęboką miłość do Kościoła.

Cierpienie i słabość miały wymiar ewangelicznego świadectwa. Przybliżały rozumienie ofiary krzyża w sytuacji próby i w zwykłym dniu codziennym. „*Pan Jezus najwięcej uczynił nie wtedy, gdy głosił słowo i czynił cuda, ale gdy wisiał na krzyżu i niczego już nie mógł uczynić*" – powiada jeden z ojców duchownych. Ksiądz niejednokrotnie pisał w listach na temat owej niemocy i daremności, dostrzegając głęboką Bożą treść tych doświadczeń: „*bo w nich przejawia się całkowita zależność nasza od Boga i potęga ufności potęgę ufności*".

Przeżywanie przez wiernych owej pokory i „*nieudolności*" coraz bardziej chorego ojca duchowego stawało się ważnym elementem duchowego wzrostu i dojrzewania młodego pokolenia. Nie tylko wiernych świeckich. Krótko przed śmiercią ciężko chory ks. Bukowiński gościł przez trzy dni świeżo wyświęconego młodego księdza z Ukrainy Władysława Zawalniuka. Ów młody ksiądz wyznał po jego śmierci: „*To, czego się przez te trzy dni nauczyłem od księdza Bukowińskiego, wystarczy mi na całe życie*".

Dodam, że wspomnianej małej Ani i jej bratu Ksiądz udostępnił, jak wielu innym polskim rodzinom, na jeden tydzień „*Elementarz*" Falskiego, bo jak sam powiedział pewnego dnia w innej polskiej rodzinie, „*dzieci trzeba uczyć*". Elementarze sprowadzał z kraju, prosząc o nie w listach. Uczył nade wszystko prawd wiary katolickiej i dziejów ojczystych. Układał program katechez, krótszy dla dzieci niemieckich, przygotowywanych przez niemieckie katechetki, dłuższy dla dzieci polskich, ponieważ wśród Polaków nie było osób mogących nauczać. „*Lekcje dla dzieci i dorosłej młodzieży odbywały się w różnych domach. Uczył i odpytywał. Umieli wszystko jak tabliczkę mnożenia*" – powie inny świadek. W innej relacji czytamy: „*Mała Nina książki do szkoły nosiła owinięte w gazetę. Kiedyś po spowiedzi ksiądz zawołał ją i dał jej 25 rubli. To było bardzo dużo pieniędzy. Wzbraniała się wziąć, pomna słów mamy, żeby od nikogo niczego nie brać, bo wszystkim jest ciężko. Ale ksiądz na to: «Bóg powiedział, kup teczkę i żeby były piątki»*".

Praktyczne wcielanie w życie głoszonych ideałów, służenie im całym sobą, świadectwo tak przekonujące dzieci i młodzież, było widoczne już podczas pierwszej pracy w Rabce. Ks. Bukowiński nie tylko propagował ideały ewangelicznego miłosierdzia wobec najbardziej pokrzywdzonych i zapomnianych, ale i żył nimi. Wkrótce znany był w całej miejscowości z czynnego angażowania się w pomoc ubogich, którą świadczył też z własnych prywatnych rzeczy. Organizował spotkania towarzyskie dziewcząt ze szkoły, tzw. „*biby*", w domach najuboższych rodzin. Jako wychowawca, wiedział jak ważne jest osobiste zaangażowanie młodzieży w czynienie dobra i co więcej potrafił wskazać owoce duchowe dla czyniących owo dobro. W „Kronice szkolnej" pozostawił charakterystyczny wpis: „*Lepiej jest dawać niż brać*", „*Królestwo Boże w was samych jest*".

Ks. Władysław Bukowiński z dziećmi pierwszokomunijnymi
Fotografia udostępniona przez Ninę Żubrowską

Gdy opowiada podczas przyjazdu do Rabki swoim byłym uczennicom o łączności duchowej, stwierdza, że jej najidealniejszym przejawem jest łączność w Panu Bogu, przez Komunię św.

Na jednym z takich młodzieżowych spotkań „*integracyjnych*", jak byśmy może dziś określili, wygłasza przemówienie do wszystkich obecnych stwierdzając, że to „*dobra i wdzięczna rzecz, by bracia byli razem*". To przeświadczenie o potrzebie więzi wzajemnych ze strony świadczących pomoc i obdarowywanych, uczących i nauczanych, wyrażał ks. Bukowiński poprzez inicjowanie, zakładanie i namawianie do zakładania wśród młodzieży rozmaitych związków. Cofając się do lat studenckich było to m. in. wspomniane AKK i Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej „Odrodzenie" (sekcję utworzy także w Suchej Beskidzkiej) i owe koła „Caritasu", projektowane stowarzyszenie wychowanek gimnazjum w Rabce, i później, Katolickie Stowarzyszenie Mężów, i Akcja Katolicka w Łucku. Wyrazem troski wychowawczej były też wspomniane już artykuły na temat wychowania katolickiego oraz odczyty na ten temat wygłaszane m.in. do nauczycieli Wołynia.

Już środowisko rodzinne w sposób naturalny kierowało młodego Władysława ku odpowiedzialności za formację młodzieży. Stryj, też Władysław, poeta młodopolski, o którym po latach Ksiądz napisze, że był „*najwybitniejszym*" członkiem rodziny, w młodości zaangażowany był w nielegalne działania oświatowe na terenie zaboru rosyjskiego, a potem stał się współzałożycielem Związku Nauczycielstwa Polskiego. Kresowa rodzina matki z domu Scipio del Campo pielęgnowała tradycje patriotyczne, od XVI wieku kształtowane przez służbę Rzeczypospolitej w radzie i w polu. Tradycję rodzinną wzmacniała wielka rola przedwojennej szkoły w budowaniu świadomości narodowej i patriotycznej. W takim klimacie wyrastał, a potem studiował młody Wła-

dysław. Biskup ordynariusz diecezji łuckiej, kandydat na ołtarze, Adolf Piotr Szelążek, który zlecił młodemu nauczycielowi seminarium wykłady z katechetyki i socjologii, sam przykładał wielką wagę do zagadnień oświatowych, był m. in. autorem dokumentów na temat wychowania przez szkołę katolicką, założycielem katolickich szkół zawodowych na terenie diecezji łuckiej.

Do końca życia ks. Bukowiński podtrzymywał przyjaźnie z wychowankami i ich rodzinami.

Apostoł Kazachstanu otaczał duszpasterską opieką całe rodziny. Wiele troski poświęca w swoich pismach jej wychowawczo-religijnemu oddziaływaniu: „*Jeżeli rodzina jest wierząca w mądry sposób, a także gorliwa, to wychowuje młodzież wierzącą i praktykującą. Jeżeli rodzina jest wierząca, ale na przeciętnym poziomie, to bardzo często młodzież wprawdzie wierzy w Boga i nie odrzeka się od wiary, lecz nie modli się. Jeżeli rodzina jest wierząca i niedbała albo mieszana pod względem wyznaniowym, czy też częściowo niewierząca, to wśród takiej rodziny wyrasta młodzież agnostyczna, a znacznie rzadziej ateistyczna*". Rodziców, zwłaszcza matki (ojcowie bowiem, zwłaszcza w początkowym okresie pracy Księdza najczęściej nie żyli lub przebywali w łagrach) kształtował do mężnego podejmowania odpowiedzialności za chrześcijańskie wychowanie dzieci. Przykłady takich mężnych, bohaterskich zachowań matek odważnie broniących prawa do chrześcijańskiego wychowania własnych dzieci przytacza zresztą Ksiądz kilkukrotnie we wspomnieniach, np. przykład mężnej postawy kobiety nazwanej z powodów konspiracyjnych Bonifacją wobec prób zmuszenia jej do zaprzestani modlitw ze swoimi dziećmi, czy przykład Felicji „*mądrej i pobożnej*", w której „*rodzinie na pierwszym miejscu była modlitwa*" z dziećmi.

Sprawie rodzinnej modlitwy jako najważniejszej pomocy w zachowaniu wiary poświęcał wiele uwagi. Wielokrotnie podkreślał jej fundamentalną rolę. Z tego też powodu zachwalał matkom godność „*domochaziajki*", oddającej się wyłącznie chrześcijańskiemu wychowaniu dzieci. Wiedział bowiem, że tylko rodzina może dziecku dać pełnię formacji ludzkiej i chrześcijańskiej. Pisał do przyjaciela prof. Karola Górskiego o roli wychowania rodzinnego: „*Od rodziny zależy niemalże wszystko, szczególnie pod względem najważniejszym. Tylko rodzina może otwierać perspektywy wiekuiste. Znam wypadki samodzielnego dojścia do nich. Lecz są to raczej wyjątki*" Wzmacniał rolę matki, podtrzymywał jej niezastąpiony autorytet. Jednym z najważniejszych pytań w czasie spowiedzi św. i w czasie rozmów z dziećmi było: „*Jak odnosisz się do matki?*" (pytał również: „*Jak wykorzystujesz swój czas? Czy go nie marnujesz?*")

Doceniał przy tym bardzo wartość jedności międzypokoleniowej dla wychowania dzieci, a nawet opierał na niej duszpasterskie prace. Cenił bardzo rolę babć w rodzinie, w przekazywaniu wiary. Sam był pełen prawdziwej miłości i szacunku dla ludzi starszych. Żartował zresztą niejednokrotnie, że jego życiowym zadaniem jest „*pocieszanie ubogich staruszek*".

Wszystkie sakramenty św. sprawowane były, działy się jakby „*na oczach dziecka*": Msze św., spowiedź, rodzinne przygotowywanie do I Komunii św. Po I spowiedzi dziecko przepraszało mamusię i przyrzekało poprawę. Nie obywało się bez łez szczerego wzruszenia. Znaczenie tego było ogromne. Tak opisywał owe rodzinne Msze św.: „*Najczęściej pierwszą Mszę odprawiam za żywych członków rodziny gospodarzy, a drugą za zmarłych. Cała rodzina spowiada się i zwykle dwa*

razy – wieczorem i rano – przyjmuje komunię św. Jakie to ma znaczenie dla życia rodzinnego, każdy łatwo zrozumie". W naturalny sposób budował autorytet najstarszego w rodzinie pokolenia.

Praca ks. Władysława wyróżniała się na tle innych bohaterskich działań duszpasterskich skierowanych do młodych ze strony kapłanów działających na terenach dawnego ZSRR, o czym sam Ksiądz zresztą pisze w swoich relacjach. Wspominał o dużej liczbie dzieci uczestniczących w przygotowywaniu do I Komunii św., opisywał pewien splendor oprawy liturgicznej uroczystości niespotykany w warunkach „*III zony*". Tylko dzieci przygotowywane przez niego chodziły po Karagandzie w białych strojach pierwszokomunijnych po ulicy, o czym Ksiądz pisał z dumą i radością. Warto również uprzytomnić sobie fakt samego uczestnictwa dzieci we Mszach św. Praktyka innych kapłanów bywała taka, że najmłodsze pokolenie nie brało w nich udziału z uwagi na łatwość dekonspiracji. Ksiądz zaś nie tylko wiele uwagi poświęcał młodym w sakramencie spowiedzi, ale i gromadził dzieci jak najbliżej ołtarza. Nie obywało się przy tym bez żartów, ksiądz nadawał dzieciom zabawne przezwiska, zresztą pamiętał świetnie wszystkie dziecięce imiona.

Zapłacił za te działania wielką cenę. Nie zrezygnował jednak. Pozwolę sobie tu przytoczyć wspomnienie M. Teresy Bitz, późniejszej siostry zakonnej, dotyczące ostatniego okresu życia Księdza: „*Często mu przecież grożono: «Jeśli przyłapiemy cię jeszcze kiedyś z grupą dzieci, natychmiast pójdziesz do więzienia». Ale ks. Bukowiński zawsze wierzył w Opatrzność Bożą. Tylko Bogu ufał*". Siostra ta wspomina dalej: „*Moja przyjaciółka, która jest w Rosji zakonnicą, pisała mi, że wszyscy, którzy przyjmowali I Komunię świętą z rąk ks. Bukowińskiego, także później przystępowali do sakramentów świętych*". Również pani Ludmiła Wierzbicka wspomniała mi o wyjątkowej skuteczności duchowego oddziaływania księdza – „*Wszyscy chłopcy, nad którymi szczególnie modlił się ks. Władysław i na których kładł ręce, zostali kapłanami*". Siostra Bitz tak o tym opowiada we wspomnieniu z 1989 roku: „*Obecnie jest już 7 młodych Księży z Karagandy, wszyscy z parafii księdza Bukowińskiego, a 8 jest jeszcze w seminarium duchownym. Prawie wszyscy z nich to «dzieci», które z rąk ks. Bukowińskiego przyjmowały I Komunię św. i u niego praktykowały. Ziarno pszenicy musi obumrzeć, aby wydało plon stokrotny*". O wyjątkowym duchowym znaczeniu świadczą również losy innych młodych, tych, których formowały w wieku młodzieńczym i na progu dorosłości jego „*Wspomnienia z Kazachstanu*" wydane po raz pierwszy na emigracji w 1978 i następnie kilkukrotnie przedrukowywane podziemiu w kraju. Również i obecnie młode osoby składają świadectwa, że historia życia i posługiwania Ks. Bukowińskiego wpłynęła na ich życiowe wybory i rozeznanie powołania (przykład ks. Aloszy Micińskiego MIC). Postać Księdza inspiruje również szkolne i pozaszkolne działania pedagogiczne i, co za tym idzie, uczniowskie serca.

Byłoby wielką radością, gdyby ten, który tak troszczył się o młodych wiernych, inspirował ich do wierności Bogu i ludziom, stał się patronem wychowawców, rodziców i nauczycieli, wzorem i źródłem dobrych natchnień. Ksiądz Bukowiński zawsze prosił o modlitwę w intencji swojej i „*swoich*", niech patronuje nam z nieba i wstawia się za nami.

Maria Kalas

◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇◇

Literatura - Література

OLBLE

Jezioro Olble miało właściwie dwie nazwy: Olble Ruskie, to przybrzeżny akwen po stronie ukraińskiej i Olble Lackie, to, tak samo, po stronie polskiej. W Ruskim nie byłam nigdy, widziałam je tylko z brzegu jeziora Lackiego: była to duża, długa wieś. Chaty schowane w kępach drzew, tylko strzechy brązowe, jak kapelusze grzybów, wystawały spod zielonych koron drzew.

Pomiędzy oboma akwenami przybrzeżnymi rozciągał się piękny, duży, akwen środkowy zawsze z gładką taflą wody, która miała niespotykany kolor. Była szafirowa, a od spodu podlana jakby złotem. Części przybrzeżne, zarośnięte oczeretami, z których strzelały w górę brązowe kolby tataraku. Jak się wpłynęło łódką w sitowie, to na dnie widać było żółty, czysty piasek, usiany czerwonymi kamykami i pływające, zwinne, małe rybki. Parę ruchów wioseł i z sitowia wylatywały w górę dzikie kaczki, których skrzydła lśniły zielono-srebrnym blaskiem. A potem znowu cisza, którą zakłócał tylko plusk wiosła.

W nocy z jeziora słychać było bicie dzwonów. Jak mówiła legenda, kiedyś, kiedyś, kiedy jeszcze nie było jeziora, stała tu cerkiew. Przy cerkwi, jak zawsze, był pop, który miał żonę dobrą, ale bardzo brzydką. A we wsi mieszkała dziewczyna piękna jak anioł, a zła jak diabeł. Zakochał się więc pop w niej, a ona w nim.

Dziewczyna na imię miała Kraska i podobna była do niej. Przeszkadzała im jednak żona popa. Postanowili ją zabić, i zrobili to. Zabili popadię, pochowali w cerkwi. Wdowiec pop chodził, szukał żony, oczywiście nie mógł znaleźć. Smutny był, zamyślony, zaczął nawet dobrze popijać. Ludzie ze wsi lubili go, żal było patrzeć, jak się biedaczyna zadręcza. Postanowili ożenić popa. Wyswatano go więc z Kraską. Wyznaczono dzień ślubu. Panna młoda ubrana bogato, kolorowy wianek na głowie, z którego spływały na ramiona, czerwone jak krew, wstążki. Cerkiew też bogato przystrojono. Weszli narzeczeni, czekają na przyjazd popa, który ma im dać ślub. Czekają również i na gości. Ale jakoś nikt nie przychodzi. Czekali długo, do północy. W końcu przyjechali i goście i pop, bogato wszyscy ubrani. Zaczął się ślub.

Raptem zagrzmiało, błysnęło, buchnął płomień, ogarnął całą cerkiew. Zerwał się wiatr straszny i cerkiew zapadła się pod ziemię. Na jej miejscu powstało jezioro, z którego słychać w noc, poprzedzającą Wielkanoc, bicie dzwonów cerkiewnych.

W ten sposób została ukarana zbrodnia.

Przyjeżdżaliśmy do Olbla zawsze na tak zwane „*majówki*". Wyjeżdżało się w sobotę, lub raniutko w niedzielę. Jechało się wozami, wypełnionymi koszami z jedzeniem i z samowarem. Ile było radości, śmiechu, flirtów dorosłych i zabaw. Pamiętam drogę. Kawałek przez miasto, potem mijało się cmentarz katolicki, następnie żydowski. Droga była piaszczysta aż do lasu, w którym rozbijali swoje obozy cyganie. Następnie skręt w prawo i już prosto nad jezioro.

W Olblu Lackim mieszkał, w maleńkim, ukrytym w krzakach bzów, jaśminów, kalin i lilii, dworku, p. Czajkowski, właściciel Olbla. Kupowało się u niego pyszne mleko i jaja. Dom był taki jasny, czysty i cichy, no, bo i cisza tam była. Ludzi żadnych, tylko masa kaczek i gęsi, które hodował p. Czajkowski.

Był, na przeciw tego dworku i drugi dwór. Był to już olbrzymi, stary, drewniany dwór, zupełnie pusty. Był taki piękny

i tajemniczy. Jeśli przyjeżdżało się w sobotę, to właśnie w tym pustym domu nocowałyśmy. Były tam podobno duchy, coś straszyło. Za tym dworem był duży ogród, przechodzący dalej w puszczę mokrą i zupełnie dziką.

Ileż razy ciągnął mnie do siebie ten las, pachnący mokrym mchem kwasem zbutwiałych liści. Kusił swoją tajemniczością, coś mnie tam wołało! Siedziałam nie raz bardzo długo i patrzyłam, jak zahipnotyzowana, w głąb tej zielono-brązowej puszczy. Zdawało się, że wyciąga swoje, długie, poplątane gałęzie i woła, woła. Jakże chciałam tam pobiec!

Z jednej strony las podchodził pod same jezioro. Jakież było ono piękne! Po lewej stronie kawałek łąki z wysoką, zieloną trawą. Na brzegach rosły stare, grube drzewa, pochylone nad wodą. Gałęzie, jak olbrzymie skrzydła, zanurzone w wodzie, kołysane przez fale, uderzały o brzeg, rozpryskując krople wody. Plusk tych fal, ciszę i spokój widzę i czuję do dziś! U brzegów jeziora, na piasku, znajdowałam muszelki. O jedną z nich przecięłam sobie piętę, mam jeszcze szramę do dziś.

Druga, prawa strona jeziora, zarośnięta była zupełnie tatarakiem i sitowiem. Było to królestwo dzikich kaczek, piskliwych czajek i mew. Wpływałam tam, razem z moim Ojcem, łódką która nosiła moje imię. Pamiętam plusk wiosła: szyt, szyt. Kłaniały się tataraki i już byliśmy na maleńkiej wysepce, mojej wysepce. Miał kiedyś stanąć na niej dom. W tej części jeziora spotykaliśmy często dziwną kobietę. Była niska, gruba, połowa twarzy spalona, miała kolor czerwono-siny. Kobieta, której wieku nie umiałam określić, raz w roku, na Wielkanoc, kąpała się w tym jeziorze. Wchodziła do wody zupełnie ubrana, w fartuchu i spódnicy, chustce na głowie. Wchodziła i stała w wodzie bardzo długo. Nikt nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć kim była i dla czego tak długo stała.

Pod wieczór brano łódki i wypływano na jezioro. Na środku kołysano łódkami tak, że niektóre się wywracały. Wtedy panowie wskakiwali do wody i wyciągali, wołające o pomoc, panie. Dużo było śmiechu. Po powrocie suszono się przy ogniskach. A jeśli noce były księżycowe, to spacerowało się brzegiem jeziora. Szumiały oczerety i cisza trwała, przerywana tylko rechotaniem żab, lub gdzieś z głębi puszczy, rykiem jelenia.

Te „*majówki*”, takie beztroskie, pełne szczęścia, śmiechów i bezpieczeństwa. Zakłócał je tylko nasz pies „laluś”, rozpuszczony szpic, ale jakże kochany. Zawsze, przy wjeździe do Olbla biegał laluś z psami znajomych, rozganiał gęsi i kaczki. Co to był za hałas i krzyk!

Tak się spędzało soboty, niedziele, dopóki nie przyszedł dzień, ten jeden jedyny, w którym posłyszało się słowo „*wojna*”. Skończyło się wszystko. Jak za dotknięciem złej różdżki szatana. Jak gaśnie ognisko, gdy na nie spadnie niespodziewana ulewa! Ludzi, którzy tam przyjeżdżali już nie ma, wszystko odeszło w jakiś niebyt, a może tego nigdy nie było? Może mi się to wszystko śniło?

Aldona Perkowicz-Barbacka

Z życia Kościoła na Wołyniu - З життя Церкви на Волині

DZIESIĄTA STACJA. ROZPOCZĘCIE PROCESU BEATYFIKACYJNEGO O. LUDWIKA WRODARCZYKA OMI

„*Pan Bóg dobry doda jednak sił i łask, abym mógł wykonać wszystko tak, jak On tego pragnie*" (Z listu o. L. Wrodarczyka do swojej siostry Pryscylli, maj 1933)

Niebo, nad obficie zroszona krwią męczenników ukraińską ziemią, często słyszało modlitwy tych, którzy cierpieli prześladowania i byli więzieni za wierność Chrystusowi. Niewielu z tych męczenników znamy po imieniu, wielka ich część jest nadal nieznana.

Jednym z tych, którego imię znamy, był o. Ludwik Wrodarczyk OMI, który w pierwszej połowie XX wieku służył w małej parafii w Okopach na Wołyniu. Według opinii tych, którzy go znali osobiście i doświadczyli jego dobroci, o. Ludwik żył jak święty i zginął jak święty.

Dnia 9 maja 2016 r., wieczorem, oblaci, pracujący na Ukrainie i w Rosji, zebrali się w Równem na Wołyniu. Przeżywali tam dni skupienia, które miały im przybliży osobę o. Ludwika Wrodarczyka. Centralnym momentem była modlitwa w miejscach posługi o. Ludwika. 10 maja, w godzinach przedpołudniowych, oblaci udali się do parafii w Rokitnem, która jest oddalona 20 km od miejsca pracy o. Ludwika.

Ojcowie Oblaci na dziedzińcu kościoła w Równem

Ojcowie Oblaci ofiarowali do łuckiej katedry portret Sługi Bożego

Tam oblaci sprawowali Mszę św. Następnie udali się na cmentarz w Okopach. Ten cmentarz to jedyny świadek tamtych lat i wydarzeń z roku 1943.

Na miejscu wioski i kościoła pozostały tylko zielone łąki i droga wiodąca na cmentarz. I wielka cisza, jak znak pamięci o tych, których zamordowano. W drodze na cmentarz oblaci odprawiali drogę krzyżową, w której rozważali też o życiu i męczeństwie o. Ludwika.

Na początku modlitwy świeciło słońce. Jednak, gdy zapowiedziano dziesiątą

We wtorek, 10 maja 2016 r., ojcowie oblaci odprawili Mszę św. w kościele pw. św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Rokitnie w intencji rychłej beatyfikacji o. Ludwika

Po Mszy św. w Rokitnem oo. oblaci udali się na cmentarz w Okopach

Krzyż ku pamięci pomordowanych w parafii Okopy i symboliczny grób o. Ludwika Wrodarczyka OMI

stację, nagle zerwała się burza z piorunami i grzmotami, a potem był ulewny, majowy deszcz, jak znak Bożego błogosławieństwa.

W środę, 11 maja 2016 r., przed południem w Równem ks. Vitold-Yosif Kovaliv wygłosił nam kilka wykładów, przybliżających kontekst historyczny i miejsca życia i pracy duszpasterskiej o. Ludwika Wodarczyka oraz przedstawił sylwetki trzech innych Sług Bożych z diecezji łuckiej – czcigodnego Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego (jego beatyfikacja odbędzie się 11 września br. w Karagandzie), Sługi Bożego biskupa Adolfa Piotra Szelążka i Sługi Bożego o. Serafina Alojzego Kaszuby OFM Cap.

Tego dnia w Łucku rozpoczął się proces beatyfikacyjny o. Ludwika. Proces beatyfikacyjny to czas, kiedy Kościół, przy pomocy specjalnych procedur, przygląda się życiu, pracy i śmierci sługi Bożego, aby potwierdzić, że dana osoba może być dla wierzących przykładem do naśladowania.

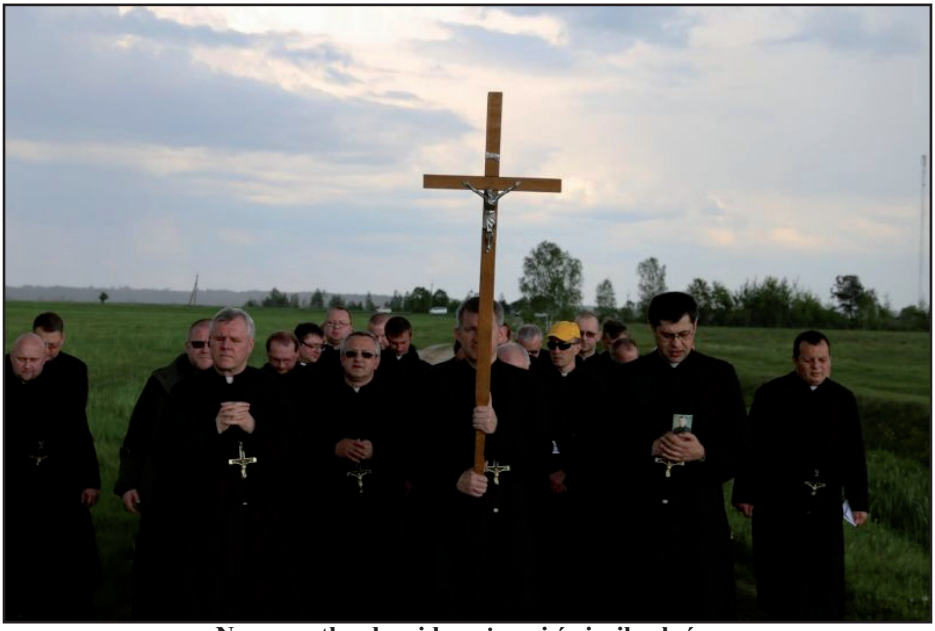

Na początku drogi krzyżowej świeciło słońce

Gdy zapowiedziano dziesiątą stację, nagle zerwała się burza z piorunami i grzmotami, a potem był ulewny, majowy deszcz, jak znak Bożego błogosławieństwa

Msza św. w katedrze łuckiej na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego o. Ludwika

Zebranych przywitał o. Paweł Wyszkowski OMI, superior Delegatury Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej na Ukrainie

W godzinach wieczornych była sprawowana Eucharystia, której przewodniczył ks. bp Witalis Skomarowski, biskup łucki. W katedrze zebrali się wierni, księża z diecezji łuckiej, a przede wszystkim oblaci, pracujący na Ukrainie i w Rosji. Gościem szczególnym był wikariusz prowincjalny Polskiej Prowincji Misjonarzy Oblatów M.N., o. Marian Puchała OMI.

Wszystkich zebranych przywitał o. Paweł Wyszkowski OMI, superior Delegatury Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej na Ukrainie. W swoim słowie powiedział do zebranych, że oblaci na ten szczególny dzień długo czekali i do niego się przygotowywali. Rozpoczęcie diecezjalnej fazy procesu beatyfikacyjnego ma dla oblatów, pracujących na Ukrainie, szczególne znaczenie. „*My, misjonarze oblaci jesteśmy przeważnie w wieku o. Ludwika (36 lat), większość oblatów pochodzi z Polski, skąd pochodził i o. Ludwik Wrodarczyk. Pracował również w małej parafii, która miała być zbudowana właściwie*

W homilii bp Witalis Skomarowski starał się wyjaśnić istotę procesu beatyfikacyjnego

od podstaw. Tak samo jest z nami. Dla nas, przede wszystkim, jest to przykład wierności aż do końca, nawet wtedy, kiedy wszyscy uciekli. On również ucierpiał w czasie wojny. Stał się męczennikiem pojednania. On szedł do wszystkich, niezależnie od narodowości. Dziękujemy dziś Panu Bogu za ten dar prawego kapłana dla nas i dla wołyńskiej ziemi” – podsumował o. Paweł.

W homilii podczas Mszy św. bp Witalis starał się wyjaśnić istotę obecnego procesu beatyfikacyjnego. „*Mówiąc o świętych mówimy o tych wszystkich, którzy poszli do nieba. A niektórych z nich znamy z imienia i nazwiska. Są to ludzie, którzy nie tylko poszli do nieba, ale także Kościół daje nam ich, jako pośredników i jako przykład. I aby znaleźć ten przykład dla nas, Kościół bada sprawę. Potem potwierdza, że rzeczywiście jest to święty człowiek, a nawet męczennik. Jest to bardzo złożony i poważny proces. Kiedy proces ten zakończy się w diecezji, sprawa zostanie przekazana do Watykanu do rozpatrzenia przez Kongregację Spraw Kanonizacyjnych. Startuje wiele procesów, ale nie wszystkie się skończą pozytywnie... Więc, zaczynamy z Bożą pomocą!*” Na zakończenie biskup dodał: „*Proces rozpoczyna się, ponieważ uważamy, że ksiądz Ludwik był dobrym pasterzem, który za wierność posłudze, oddał swoje życie*”.

Po Eucharystii odbyło się oficjalne otwarcie procesu diecezjalnego. O. Andrzej Maćków OMI, wicepostulator tego procesu, wyjaśnił krótko zebranym na czym polega samo otwarcie procesu i jaki jest przebieg pierwszej jego sesji. Wicepostulator przedstawił także krótką historie przygotowań do procesu, wspominając poprzednich wicepostulatorów: zmarłego już o. Augustyna Miodka OMI i o. Kazimierza Lubowickiego OMI, a także oo. Józefa Niesłonego i Zdzisława Popowicza, którzy się tą sprawa zajmowali.

Pierwsza sesja procesu rozpoczęła się modlitwą do Ducha Świętego. Potem były poszczególne etapy: prośba wicepostulatora o rozpoczęcie procesu skierowana do biskupa i przedstawienie odpowiednich pełnomocnictw, prezentacja dotyczących procesu dokumentów Stolicy Apostolskiej i Konferencji Episkopatu Ukrainy, a następnie odczytanie dekretu biskupa. Następnie ks. bp Witalis i wszyscy członkowie Trybunału, a także wicepostulator, złożyli przysięgę, ze wiernie wykonają powierzone im zadania. Po złożeniu przysięgi, wicepostulator przedstawił listę świadków. Po ogłoszeniu daty następnej sesji Trybunału, ks. biskup i członkowie Trybunału podpisali protokół pierwszej sesji procesu.

Teraz o. Ludwikowi przysługuje tytuł Sługa Boży. Przez jego wstawiennictwo prosimy o łaski niezbędne dla nas, prosimy o dar nawrócenia i silnej wiary, prosimy o gorliwych duszpasterzy, odważnie wyznających wiarę w Chrystusa we współczesnym świecie.

o. Paweł Wyszkowski OMI
Fotografie OMI

Panie i Boże nasz, bądź uwielbiony w swoim kapłanie Ludwiku, misjonarzu, wiernym synu Maryi Niepokalanej.

Bądź uwielbiony za dar jego profetycznej wiary, za jego ufność w potęgę modlitwy i za kapłańską gorliwość, z jaką służył

Przysięga członków Trybunału

dziełu Twojej miłości.

Bądź uwielbiony, że z Twoim słowem miłosierdzia i pojednania niestrudzenie przekraczał wszelkie ludzkie granice, aby wszyscy stanowili jedno w chwaleniu Ciebie, a zwłaszcza biedni i opuszczeni.

Bądź uwielbiony za dar męstwa, z jakim przyjął męczeńską śmierć i nie chciał chronić swego życia, ale je wydał w ręce ludzkiej złości na okup za Twoje rozproszone dzieci.

Ojcze Miłosierdzia, przez wzgląd na swego sługę, ojca Ludwika i dla większej chwały Twojej przez ukazanie jego świętości, udziel mi łaski ..., o którą Cię proszę przez Jezusa Chrystusa, Twojego Syna. Amen.

Ojcze nasz..., Zdrowaś..., Chwała Ojcu...

O wszelkich łaskach uzyskanych za wstawienictwem Sługi Bożego o. Ludwika Wrodarczyka OMI proszę informować Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej, ul. Kasztanowa 22 A, 08704 Obuchów, Ukraina, E-mail: del@omi.org.ua

Więcej zdjęć na:
https://photos.google.com/share/AF1QipOiRkR3ht-5dv3U_OESidIaVlFY-AVJXA2w0zdl9WaaaiBv_JRy9DuAj0Ll2A1pZ4Q?key=d2hRX0ZYdkc0RTRKbzcteWRpNDduUXA0N2E4Rkl3

Teatr - Театр

TEATR SZLACHTY WOŁYŃSKIEJ – TEATR KRASZEWSKIEGO. ŻYTOMIERZ 1857-1859

W drugiej połowie 1839 r. w Niemirowie na Podolu występował z wielkim powodzeniem polski teatr wędrowny pod dyrekcją Donata Grunwalda. Zespół działał legalnie, repertuar miał zatwierdzony przez rosyjską cenzurę, ale grał sztuki polskie, także „*kontuszowe*", przywołujące dawny obyczaj szlachecki i szczególnie lubiane przez widzów. Nie uszło to uwagi dyrektora gimnazjum Iwana G. Kułżyńskiego, który dopiero co zajął miejsce Polaka, Jana Miładowskiego, usuniętego po wykryciu „*sprzysiężenia*" uczniów, czytających zakazane wiersze. Gdy nadzieje na rychły wyjazd aktorów zawiodły, wzburzony Kułżyński wysłał do kuratora kijowskiego okręgu szkolnego alarmujący list, którego pierwsze zdania mówią w istocie wszystko:

„*Ваше Превосходительство,*
Милостивый Государь!

Возвращенные от Польши губернии до тех пор не сольются нравственно в одно с Россею, пока не истребится в них отдельная польская народность. Самый деятельный, чуть ли не первый проводник народности есть театр. По Волыни и Подоли разьезжают многие труппы странствующих актеров и своими представлевлениями везде распространяют дух польской национальноси" [1].

W ten oto sposób niezwykle wysoka ocena narodowej i patriotycznej funkcji teatru wyszła spod pióra nadgorliwego rusyfikatora, na dodatek w formie donosu. Mimo to z pewnością byliby z niej dumni tacy następcy Wojciecha Bogusławskiego, jak Jan Nepomucen Kamiński, Seweryn Malinowski, Jan Piekarski, Paulina Zielińska czy Adam Miłaszewski, kierujący w trudnych czasach polskimi teatrami na Wołyniu i Podolu. Również Józef Ignacy Kraszewski, dla którego „*szerzenie ducha polskiej narodowości*" było w pracy teatralnej celem fundamentalnym, choć z oczywistych powodów skrywanym.

Na wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej, przyłączonych po rozbiorach do Rosji, polski teatr funkcjonował wówczas w coraz trudniejszych warunkach. Krępowany wciąż zaostrzaną cenzurą, poddawany ograniczeniom administracyjnym, a przy tym zmagający się z mnóstwem codziennych problemów i zwyczajną biedą, nie tylko trwał, ale i docierał do najdalszych zakątków. Obok teatrów stałych w Wilnie, Grodnie, Mińsku, Żytomierzu czy Kamieńcu Podolskim kraj przemierzały dziesiątki zespołów wędrownych. Gdy po upadku powstania listopadowego w 1831 r. Rosjanie zlikwidowali polskie szkoły, stowarzyszenia i instytucje, tylko w kościele i w teatrze język polski mógł rozbrzmiewać publicznie. Teatr stał się więc niezwykle ważnym czynnikiem zachowania polskości, pełniąc tę funkcję bardziej lub mniej świadomie, z większym lub mniejszym zaangażowaniem. Dla zaborców, dążących do jak najszybszej rusyfikacji tzw. „*guberni zachodnich*", które Polacy nazywali Ziemiami Zabranymi, był on w tej sytuacji solą w oku.

Teatr pojawił się w Żytomierzu u progu XIX wieku. Latem 1803 r. przy ul. Wielkiej Berdyczowskiej wzniesiony został drewniany budynek z portykiem o sześciu kolumnach. Początkowo występowały w nim polskie zespoły wędrowne. Pierwszym dyrektorem stałego teatru był od 1808 lub 1809 r. Antoni Żmijowski. Odtąd teatr działał już nieprzerwanie, walcząc z przeciwnościami, ale i zdobywając się nierzadko na ambitny, narodowy repertuar, jak komedie Aleksandra Fredry czy sztuki Józefa Korzeniowskiego. W latach dwudziestych XIX w. na afiszu pojawiły się nawet bliżej nieokreślone dramaty Shakespeare'a [2].

Ponieważ stary budynek po pięćdziesięcioletniej eksploatacji groził zawaleniem, musiał zostać zamknięty. W połowie 1854 r. ze składek wołyńskiej szlachty przy placu Panieńskim rozpoczęto budowę murowanego gmachu według projektu architekta Sztroma. Poprowadzoną do niego ulicę nazwano Teatralną i tak nazywa się ona do dziś. W październiku 1855 r. nowy teatr był gotów. Duży, piętrowy, na planie prostokąta, nakryty został płaskim dachem. Skromną klasycystyczną fasadę z trójdzielnym wejściem głównym ożywiał jedynie parterowy portyk wsparty na czterech kolumnach, podtrzymujący taras, dostępny z foyer na piętrze. Wnętrze prezentowało się bardziej okazale. Wielka sala w kształcie liry, z parterem, dwoma piętrami lóż i galerią, biała ze złoceniami, miała „nadobnie trafione proporcje" i była „nader miłego, wesołego wejrzenia" [3]. Zdobiły ją złocone świeczniki i lustra. Scena była głęboka, ale niedostatecznie wyposażona, kurtyna nieciekawa („*szarobura płachta*"), schody zbyt wąskie. Budynek ten w nieco zmienionym kształcie zewnętrznym (przebudowa portyku) i z całkowicie przekształconym wnętrzem jest dziś siedzibą żytomierskiej filharmonii.

Ponieważ teatr był duży, może zbyt duży dla trzydziestotysięcznego miasta, zrodziła się niepotwierdzona źródłowo opowieść o zamianie planów budowlanych. W Żytomierzu miał być zrealizowany projekt, przeznaczony pierwotnie dla Kijowa [4].

Po roku nieregularnych spektakli i występów w nowym gmachu, jesienią 1856 r. dyrekcję teatru objął doświadczony aktor i reżyser Adam Miłaszewski. Dyrektorem honorowym został wicegubernator wołyński Edmund Keller, co zapewniło przychylność władz. By zapobiec kłopotom finansowym, stale zagrażającym poziomowi artystycznemu, grono światłych obywateli postanowiło otoczyć teatr opieką i zapewnić mu stałe finansowanie z systematycznie zbieranych składek. W zamian za dostarczane środki wołyńska szlachta, do której należał budynek, zyskać miała poprzez swych przedstawicieli kontrolę nad pracą i rozwojem własnej przecież sceny. W marcu 1857 r. powiatowi marszałkowie szlachty z marszałkiem gubernialnym Karolem Mikuliczem na czele powołali obywatelski zarząd teatru. Stworzyli instytucję w tym czasie wyjątkową, bo nie prywatną ani państwową, lecz samorządową (gubernialne zgromadzenia szlachty były formą samorządu). Wcześniej jeszcze, bo w styczniu, o objęcie kierownictwa artystycznego teatru poproszono osobę, w powszechnej opinii gwarantującą najwyższy poziom przedsięwzięcia – Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Mieszkający w Żytomierzu od połowy 1853 r. pisarz o rosnącej sławie szybko stał się człowiekiem – instytucją. Kilkakrotnie powoływany na stanowisko kuratora gimnazjum, równocześnie pełnił różnorodne, powierzane mu przez polską społeczność funkcje, prezesury i kierownictwa, działając energicznie w roz-

maitych dziedzinach. Przywołać tu trzeba zwłaszcza zasługi Kraszewskiego dla kultury muzycznej miasta. Najpierw zainicjował „*wieczory muzykalne*" we własnym domu przy ul. Lubarskiej (sam też grywał na fortepianie i komponował), potem organizował koncerty publiczne, również w gmachu teatru. Dzięki jego staraniom w Żytomierzu występowali wybitni pianiści Józef Wieniawski i Stanisław Taborowski, skrzypkowie Apolinary Kątski i Nikodem Biernacki, wiolonczelista Samuel Kossowski [5].

Przy tak wszechstronnej aktywności chętne zaangażowanie pisarza w żywo wszystkich obchodzące sprawy polskiego teatru trzeba uznać za oczywiste. Tym bardziej że Kraszewski wcześniej napisał i wydał w Wilnie kilka dramatów: „*Halszkę*" (1838), „*Szatana i kobietę*" (1841) oraz „*Tęczyńskich*" (1844). „*Szatan i kobieta*", „*fantazja dramatyczna w XI nocach*", doczekała się nawet w marcu 1855 r. premiery w Krakowie. Wywiedziony z Fausta Goethego utwór rewiduje faustyczny wątek. Próbując znieprawić Anielę, niezłomną dziewczynę – Polkę, Szatan ponosi klęskę. Może doprowadzić ją do śmierci, ale nie do wyrzeczenia się dobra. Jako prawdziwy romantyk pisarz był też wielbicielem Shakespeare'a, nie tylko czytał jego dzieła, lecz także o nich pisywał, z entuzjazmem przyjął też pierwsze polskie przekłady z oryginału, które w Wilnie w latach 1839-1841 ogłosił ks. Ignacy Hołowiński [6].

Tuż po objęciu teatralnego stanowiska, 19/31 stycznia 1857 r. Kraszewski ogłosił na łamach „Gazety Warszawskiej" apel, ukazujący jego intencje uczynienia z żytomierskiego teatru bastionu polskości, ośrodka patriotycznej edukacji i skarbnicy narodowego języka. Intencje nie formułowane wprost – bo przecież tekst musiał przejść przez rosyjską cenzurę:

„*Zdaje mi się, że teatr ten, na którym głównie grają sztuki w języku polskim, powinien nas obchodzić, i żeśmy wszyscy obowiązani przyjść mu w pomoc czynnie, zapewniając dalszą jego egzystencję.* [...] *Prawda, czasy są ciężkie, ale obowiązki wielkie* [...] *Gdzie chodzi o sprawę języka, o ukształcenie, którego teatr i sztuka jest powolnym a skutecznym narzędziem, nie pojmuję, byśmy się zrzec mogli udziału. Obmyślmy środki i spełnijmy obowiązek* [...] *Wyrzekając się go, wyrzeczemy się razem własnego języka, który ofiarą tylko z naszej strony na scenie utrzymać się może. Niech każdy uczyni co może; ofiara mała, ale ogólna aż nadto wystarczy do dźwignięcia sceny i przyszłość jej zapewni.* [...]

Nie mówmy, że nas teatr ten nie obchodzi, że w nim nie bywamy, siedząc na wsi. [...] *Zostawiony sam sobie, nie przyjęty przez szlachtę, teatr może* [...] *stać się czczą zabawką i zgorszeniem; objęty przez szlachtę, wspomożony przez nią, utrzymywany, stanie się tym, czym być powinien i czym go mieć pragniemy – sceną pożyteczną, kształcącą, uczącą nas języka, którego zapominamy niestety, będzie miejscem, w którym piękne utwory poetów i pisarzy naszych posłyszeć będziemy mogli. Wołyń będzie się mógł poszczycić, że pojął wartość języka, znaczenie teatru, i dźwignął ochotnie scenę krajową.* […] *Na chwilę też nie wątpimy, że każdy przyjdzie w pomoc teatrowi szlacheckiemu, którego nazwa już nas obowiązuje; gdyby ją utracił, a z nią całe znaczenie swoje, sami byśmy to sobie przypisać musieli*" [7].

Po powołaniu zarządu szlacheckiego marszałek Mikulicz przekazał Kraszewskiemu pierwszą, znaczną kwotę 2500 rubli, początki były więc obiecujące. W składzie zarządu obok Kellera, Mikulicza i Kraszewskiego znalazł się poeta i dramatopisarz Apollo Korzeniowski, ojciec Józefa Konrada (czyli Josepha Con-

rada), oraz Leon Lipkowski jako kierownik ekonomiczny. Z Miłaszewskim podpisano ułożony przez Kraszewskiego kontrakt, określający powinności dyrektora zespołu. Zobowiązał się „*teatr utrzymywać na jak najlepszej stopie, starając się o wzrost jego, o podniesienie, o zamówienie dobrych do polskiej i ruskiej sceny artystów, o granie sztuk poważnych i takich, które by dobry wpływ moralny wywierać mogły*" [8]. Dobór repertuaru oraz angażowanie aktorów były jednak w gestii zarządu, który miał też prawo przeprowadzać szczegółowe inspekcje.

Wzmianka o „*ruskiej scenie*" wiąże się z wprowadzonym w latach trzydziestych administracyjnym obowiązkiem dodawania do sztuk polskich jednoaktówek rosyjskich – jako namiastki nieistniejącego na tych ziemiach teatru rosyjskiego. Komedyjki i wodewile „*doczepiane*" na końcu lub rzadziej na początku przedstawień oglądali z reguły tylko nieliczni Rosjanie, urzędnicy i wojskowi. Pozostali widzowie wychodzili wcześniej lub przychodzili później. Dyrektorzy teatrów często omijali ów nakaz, grając sztuki ukraińskie, cieszące się dużym powodzeniem nie tylko u ukraińskiej publiczności. Było to możliwe, ponieważ władze rosyjskie oficjalnie nie uznawały odrębności języka ukraińskiego, nazywając go „*małorosyjskim*". Największą popularnością cieszyła się „*Natalka Połtawka*" Iwana Kotlarewskiego. Jawnie rusyfikacyjne zarządzenie władz wywarło skutek odwrotny od zamierzonego, budząc niechęć wobec teatru rosyjskiego w ogóle [9].

Uruchomienie żytomierskiej sceny w nowym kształcie wymagało wiele pracy i Kraszewski się od niej nie uchylał. „*Urządzenie teatru całkiem na mojej głowie*" – pisał do matki w kwietniu 1857 r., dodając imponujące rozmachem sprawozdanie z czynności:

„*Wczoraj wyprawiłem kogoś umyślnie do Wrocławia po garderobę, a do Lwowa i do Krakowa po aktorów; buduję w gmachu teatralnym ganki, piece itp. Kasa przy mnie i cały kłopot; później tylko, gdy się urządzi, część estetyczna należeć do mnie będzie. Polecono mi także sprawienie dekoracyj, które będzie robił Gropius w Berlinie, zaopatrzenie biblioteki itp*" [10].

Berlin i Wrocław, Lwów i Kraków, a także Warszawa i Wilno – oto świadectwo rozmachu. Powiodło się skompletowanie niezbyt wielkiego, ale odnowionego zespołu, choć nie wszyscy przyjęli ofertę. Ceniony aktor Jan Chełmikowski mimo prowadzonych rozmów nie zdecydował się porzucić Wilna, a popularny dramatopisarz Władysław Ludwik Anczyc objąć stanowiska reżysera. W gronie aktorów znalazł się natomiast pięćdziesięcioletni Donat Grunwald, dawny dyrektor wędrownego zespołu, od którego rozpoczęliśmy tę opowieść.

Ideę dobrego narodowego teatru wsparł sam Józef Korzeniowski, ofiarowując zysk ze sprzedaży wydanej w 1857 r. w Warszawie Reputacji w miasteczku (prapremiera we Lwowie 13 V 1853). Na stronie tytułowej wydrukowano informację: „*Komedię tę przeznacza autor na dochód teatru w Żytomierzu, oddając cały wpływ do dyspozycji J. I. Kraszewskiego*". Portret ofiarodawcy na znak wdzięczności umieszczono w sali teatralnej.

Współtworząc teatr, Kraszewski szczególną wagę przywiązywał do doboru repertuaru, stanowczo domagał się grania dramatów wartościowych, w tym oczywiście jak najwięcej polskich. W sierpniu, na krótko przed inauguracją, pisał do Korzeniowskiego, dzieląc się radościami i kłopotami:

„*Z taką trupą ledwie małe rzeczy grać się dają. Teatrzyk sam śliczny i nieźle urządzony, ale* […] *masę rzeczy brak, garderoby jeszcze mało, dekoracje jak w Sha-*

kespearowskie czasy. […] *Obstaję przy* [sztukach] *domowych i nie puszczam obcych, ile mogę*" [11].

Pierwszy pełny sezon teatru szlachty wołyńskiej rozpoczął się 8/20 września 1857 r. przedstawieniem dramatu Ignacego Kaczkowskiego wg powieści Victora Hugo „*Esmeralda czyli Dzwonnik z Notre Dame*". W ciągu dwóch miesięcy w 22 spektaklach odegrano 27 sztuk w języku polskim, w tym oryginalnych, „*domowych*" jedenaście (czyli 40 %). Były wśród nich dwie komedie Fredry: „*Pan Jowialski*" i „*Śluby panieńskie*", cztery utwory Józefa Korzeniowskiego: „*Piąty akt*", „*Karpaccy górale*", „*Stacja pocztowa w Hulczy*" i „*Narzeczone*", dwa Stanisława Bogusławskiego: „*Pod strychem*" oraz „*Lwy i lwice*", a ponadto „*Staroświecczyzna i postęp czasu*" Jana Nepomucena Kamińskiego, „*Hrabia na Wątorach*" Władysława Syrokomli oraz „*Łobzowianie*" Anczyca. Z ambitnego repertuaru obcego pokazano „*Marię Stuart*" Friedricha Schillera i „*Adriannę Lecouvreur*" Scribe'a i Legouve'a. Reszta to popularne komedie francuskie, dla teatru niezbędne, bo przyciągające liczną, mniej wymagającą publiczność. Był to bez wątpienia bardzo dobry początek. Komentując go na łamach „Gazety Warszawskiej" Kraszewski „*samokrytycznie*" stwierdził:

„*Scena żytomierska, jakkolwiek wiele może jej niedostaje do doskonałości, której byśmy wszyscy pragnęli, stoi dziś na takim stopniu, na jakim nigdy nie była – szczęśliwe połączenie utalentowanych artystów, poważniejszy sztuk wybór, samo materialne jej urządzenie, stawi ją wyżej [od] zwykłych prowincjonalnych teatrów. […] przy staraniu niezmordowanym artystów większa część sztuk przedstawionych poszła bardzo dobrze*" [12].

Repertuar żytomierski znamy dziś tylko fragmentarycznie, trudno więc o szczegółową analizę. Z autorów polskich stale obecni byli Fredro, Kamiński, a zwłaszcza Korzeniowski. Sam Kraszewski napisał dwie nowe komedie: „*Portret*" oraz „*Łatwiej popsuć niż naprawić*". Premiera pierwszej odbyła się 13/25 lutego 1857 r., jeszcze przed formalnym powołaniem zarządu szlachty, drugiej – w lutym 1858 r. Wznowiono „*Marię Stuart*", potem pokazano również Schillerowską „*Intrygę i miłość*", tragedię Johanna Gottfrieda Dickego „*Hrabia Essex*" oraz dramaty Victora Hugo „*Maria Tudor*" i „*Nieboszczka, czyli aktorka wenecka*" (taki tytuł nadano w Żytomierzu dramatowi „*Angelo, tyran Padwy*").

Najwyższym sprawdzianem dla teatru były jednak utwory Shakespeare'a. W lutym 1858 r. odbyła się premiera „*Makbeta*", może w przekładzie Józefa Paszkowskiego, opublikowanym pod koniec poprzedniego roku (choć sięgnięcia przez Kraszewskiego po tłumaczenie Hołowińskiego też się wykluczyć nie da). Jako Lady Makbet wystąpiła Joanna Miłaszewska, najlepsza aktorka zespołu, żona dyrektora. Stanisław Okraszewski, obserwator z Warszawy, pisał z uznaniem i nieskrywaną zazdrością: „*Tak jest, tragedia. «Maria Stuart», «Essex», «Makbet" i inne. Gdy więc nad Wisłą harcuje balet, miłosna się opera kwili, cieszy się za to Wołyń tragedią*". Miłaszewską jednak skrytykował, stwierdzając, że „*straszliwą nie będzie nigdy*" [13]. W listopadzie 1858 r. wystawiono w Żytomierzu Hamleta, ale poza samym faktem niczego o tym ważnym spektaklu nie wiadomo.

Podczas jednego z lutowych wieczorów teatr w szczególny sposób uhonorował Kraszewskiego, łącząc go w scenicznej apoteozie z Mickiewiczem, Fredrą i Bohdanem Zaleskim. Pomysłodawca, dekorator Klemens Rodziewicz nagrodzony został brawami i dwukrotnym wywołaniem na scenę.

Niestety już po paru miesiącach sielanka się skończyła, kiedy zawiodło to co najważniejsze – finansowanie. Szlachta nie wywiązywała się z dobrowolnie przyjętych obowiązków, a widzów mimo wartościowego repertuaru przychodziło mało, więc teatralna kasa zaczęła świecić pustkami. Miłaszewski nie był nawet w stanie wypłacić Towarzystwu Dobroczynności zwyczajowych sum od przedstawień, odegranych w Wielkim Poście 1858 r. Kraszewski zaś żądał i wymagał, szybko pomnażając grono osób mu niechętnych. Wprawdzie w maju gubernialny zjazd szlachty uchwalił wypłacenie na najpilniejsze potrzeby teatru 2400 rubli i zadeklarował roczne subsydium w wysokości 3000 rubli, ale obietnice te w znacznej części pozostały na papierze. W dodatku podczas półrocznej podróży Kraszewskiego po Włoszech i zachodniej Europie (maj – październik 1858) wyznaczony na jego zastępcę Lipkowski okazał się nieudolny, a dziennikarz Andrzej Kwiatkowski, korespondent warszawskiej „Kroniki Wiadomości Krajowych i Zagranicznych", publicznie znieważył Miłaszewskiego, zarzucając mu okradanie kasy. Po powrocie Kraszewski nie zerwał z Kwiatkowskim stosunków, co jedynie pogorszyło atmosferę.

7/19 września 1858 r. na otwarcie drugiego sezonu odegrano Zabobon czyli Krakowiaków i Górali Kamińskiego oraz Dożywocie Fredry. W roli Łatki wystąpił gościnnie Józef Damse z Warszawy. Poziom repertuaru utrzymano (Hamlet!), teatr przynosił nawet zyski, ale Kraszewski, zniecierpliwiony niedotrzymywaniem przez szlachtę zobowiązań, chyba zbyt pośpiesznie zamieścił w „Gazecie Warszawskiej" ostry w tonie list, który stał się początkiem otwartego konfliktu ze znaczną częścią wołyńskich obywateli:

„*U nas dotąd, na nieszczęście, trudno jest nawet przekonać zacofanych i upartych, że teatr ma wyższe cele, ma znaczenie wielkie i powinien być zarazem szkołą obyczajów, języka i smaku... Znam takich, co stale odpowiadają, gdy się im prawi o potrzebie utrzymania teatru: – a mnie co to obchodzi? Ja siedzę na wsi i w waszym teatrze nie bywam… – My też nie prosimy o bywanie, ale żądamy współczucia i zdrowego pojmowania obowiązków…*"

„*Cóż poczniem z ludźmi, którzy głuchych udają, bo słuchać nie chcą? Potrzeba westchnąć nad ich ślepotą i odwołać się między nami a nimi do sądu potomności, która rozwiąże, kto z nas miał słuszność, ten co chciał teatr podnieść i utrzymać, czy ten, co nań ramionami ruszał*" [14].

Rozczarowanego Kraszewskiego ogarniało zniechęcenie i zwątpienie w sens walki o żytomierską scenę, ale i we własne siły. Świadczy o tym jeden z listów do Miłaszewskich:

„*Przy najlepszych chęciach moich dla teatru widzicie już Państwo, jakie są skutki przy moich zajęciach, niezdrowiu i nieudolności prowadzenia teatru. Mówiłem i mówię, że temu nie podołam, i co dzień to widzę jaśniej*" [15].

Na domiar złego do sporu o teatr dołączył się spór ideowy w sprawie przygotowywanej wówczas – z inicjatywy cara Aleksandra II – reformy uwłaszczeniowej. Kraszewski opowiadał się za zniesieniem poddaństwa i nadaniem chłopom ziemi, ale z zachowaniem, czy raczej przywróceniem patriarchalnych, opiekuńczych stosunków między dworem a wsią. Jego poglądy dla konserwatywnej wołyńskiej szlachty były nazbyt radykalne, a dla „*młodych*" zbyt umiarkowane, nie zaproszono więc pisarza na obrady „*komitetu do zmiany stosunków włościańskich*". Urażony, postanowił zabrać głos w dyskusji tak jak potrafił najlepiej i napisał ko-

medię „*Stare dzieje*”. Odwołując się do chwalebnej przeszłości (czyli wyidealizowanej tradycji Rzeczypospolitej), zarzucił w niej szlachcie współczesnej społeczny indyferentyzm, dorobkiewiczostwo i uniżoność wobec arystokracji.

Premiera odbyła się w dniu Nowego Roku – 1/13 stycznia 1859 r. na benefis Miłaszewskiego [16]. Publiczność przyjęła sztukę niechętnie, wręcz z oburzeniem, czego nie mogły ukryć grzecznościowe gratulacje. Pojawiły się nawet zarzuty przeniesienia na scenę konkretnych osób. Dla Kraszewskiego był to zasadniczy przełom. We wstępie do wydania „*Starych dziejów*” emocjonalnie opisał premierowe wrażenia:

„*Widziałem na twarzach nawet tych, co mi przychodzili winszować, zachmurzenie, zniecierpliwienie, oburzenie prawie za to, żem śmiał pana, szlachcica, ekonoma i chłopa razem wszystkich na deski powołać „sine discrimine». Byli, którzy wołali: czerwony!, inni okrzyczeli arystokratą; większa część widocznie cierpiała nad tym, że żywo kraj swój i siebie widziała na theatrum! Nie wyliczyłbym sądów… natomiast i jednego nie znalazłem, co by mnie chciał zrozumieć i myśl moję w danych okolicznościach chciał pojąć!* […]”

„*Dla mnie na całe życie pamiętnym będzie ten wieczór d. 1 stycznia, który ukryty w górnej loży spędziłem, wpatrując się w teatr milczący, ponury, niespokojny, w parter niekiedy głuchymi odzywający się oklaski… i w postacie charakterystyczne naszych kilku, niestety!, arystarchów, w tej chwili przygniecionych całą ważnością swojego posłannictwa sędziowskiego, a niepewnych, czy szlachcie klaskać, czy chłopu… czy się oburzać, czy chwalić, czy świstać, czy śmiać się. Wiem, że w samotnej loży mojej trwało przedstawienie długą jak wiek przestrzeń czasu, a wyszedłem zeń złamany cały….*

Protestuję przeciwko wszystkim domysłom niedorzecznym, jakobym żywe jakieś wzory przeniósł na scenę; w życium tego nigdy nie czynił i samo posądzenie o to za potwarz uważam”. [17]

Skłócony niemal ze wszystkimi Kraszewski odsunął się od prac teatralnych. W „Gazecie Warszawskiej” coraz ostrzej krytykował Wołynian za obojętność wobec obowiązków, potrzeb i inicjatyw społecznych, z żytomierską sceną włącznie. W odpowiedzi marszałek Mikulicz, wymijając problemy bieżące, przypomniał, za czyje pieniądze teatr został zbudowany i wyposażony, „*i to wszystko za wiadomością samegoż p. Kraszewskiego; nie sąż to szlacheckie fundusze – i jakimiż posiłkami innymi dziś on utrzymuje się?*” [18].

Pozbawiony najaktywniejszego ze współpracowników teatr szybko podupadł, zamiast premier odbywały się koncerty. Po zakończeniu sezonu, w czerwcu 1859 r. szlachta zrezygnowała z własnego zarządu i wydzierżawiła budynek Miłaszewskiemu jako prywatnemu przedsiębiorcy. Mimo konfliktu zaproponowano Kraszewskiemu honorowe kierownictwo artystyczne, pisarz jednak odmówił i wkrótce opuścił miasto. Przeprowadził się do Warszawy, gdzie miał już przygotowaną posadę redaktora „Gazety Codziennej”. Rozpoczęta, a może i ukończona nad Teterewem najlepsza jego komedia „*Miód kasztelański*” mimo wszystko po raz pierwszy została wystawiona w Żytomierzu, w styczniu 1860 r., a wkrótce potem wydana u Leona Idzikowskiego w Kijowie.

Obywatelski teatr szlachty wołyńskiej przestał istnieć, porzucony przez tego, który wcześniej był jego najważniejszym twórcą i najgorętszym orędownikiem. Nadmierne może oczekiwania Kraszewskiego i jego wywołująca konflikty bezkompromisowość z jednej stro-

ny, a niedotrzymywanie zobowiązań i zbyt powszechna obojętność z drugiej nie pozwoliły zrealizować w pełni i utrzymać na dłużej ambitnego programu, wynikającego z koncepcji sceny narodowej. Niemniej jednak przez dwa sezony działał w stolicy Wołynia teatr nieprzeciętny, wartościowy, świadomy swego znaczenia dla polskiej kultury na rusyfikowanych ziemiach kresowych.

Jarosław Komorowski

Przypisy:

[1] О. Левицкий, „*Из жизни учебных заведений юго-западного края в 1840-х годах”,* „*Киевская Старина*” 1906, t. XCIII, maj-czerwiec, s. 80 (pismo z 29 XII 1839 / 10 I 1840, podkreślenie moje – JK). Pismo wywołało obszerną korespondencję „*о вредном влиянии, производимом на умы жителей* [...] *актерами*” Zob.: J. Komorowski, „*Co się zdarzyło w Niemirowie*”, „Pamiętnik Teatralny” 1980 z. 3-4.

[2] Zob.: J. Komorowski, „*Polskie życie teatralne na Podolu i Wołyniu do 1863 r.*”, Wrocław 1985, s. 80-94.

[3] S. Okraszewski, „*Żytomierz i jego teatr, jest temu lat trzydzieści a teraz*”, „Gazeta Warszawska” 1858 nr 226.

[4] S. Janicki, „*Teatr polski w Żytomierzu*”, „Sprawy Otwarte” 1939 nr 7.

[5] Zob.: S. Świerzewski, „*Kraszewski jako muzyk i organizator kultury muzycznej w Polsce*”, „Muzyka” 1958 nr 1-2.

[6] Zob.: J. Komorowski, „*Shakespeare w Wilnie 1786-1864*”, [w:] „*Nie tylko Shakespeare. Studia z dziejów teatru i dramatu XVI-XX wieku*”, Warszawa 2011, s. 70.

[7] „Gazeta Warszawska” 1857 nr 68.

[8] Cyt. za: A. Bar, „*Teatr szlachty wołyńskiej*”, Łuck 1939, s. 10.

[9] Zob.: J. Komorowski, „*Wobec zaborcy. Teatr polski na Kresach południowowschodnich w XIX i początkach XX wieku*”, [w:] „*Nie tylko Shakespeare. Studia z dziejów teatru i dramatu XVI-XX wieku*”, Warszawa 2011, s. 268-269; Р. Пилипчук, „*Українско-польскі театральні зв'язки (від давнини до початку XX ст.)*”, „Warszawskie Zeszyty Ukrainoznawcze”, Warszawa 1998, t. 6-7.

[10] „*Książka jubileuszowa dla uczczenia pięćdziesięcioletniej działalności literackiej. J. I. Kraszewskiego*”, Warszawa 1880, s. LXXVIII.

[11] Cyt. za: A. Bar, op. cit., s. 8, 15.

[12] „Gazeta Warszawska” 1858 nr 64.

[13] S. Okraszewski, op. cit., nr 243. Zob.: J. Komorowski, „*Piramida zbrodni. «Makbet» w kulturze polskiej 1790-1989*”, Warszawa 2002, s. 98-99.

[14] „Gazeta Warszawska” 1858 nr 305.

[15] J. I. Kraszewski, „*Listy do Adama i Joanny Miłaszewskich*”, Wrocław 1966, s. 24.

[16] Obsada: Pan Hrabia Zawolski – Jakub Czechowicz; Amelia, jego córka – Joanna Miłaszewska; Adam Czarnkowski, jej narzeczony – Adam Miłaszewski; Bartłomiej Jaczeńko, rządca dóbr – Józef Benda; Bolesław Jaczeńko, jego syn – Józef Damse; Prokop Bohateruk, wieśniak – Goniprowski; Olena Bohateranka, córka jego – Kamila Betlejewska; Iwaś, kozaczek dworski – Mieczysław Stopelle.

[17] J. I. Kraszewski, „*Stare dzieje*”, Poznań 1859, s. 8-9. Wstęp datowany jest „*d. 4 marca 1859, Żytomierz*”.

[18] „Gazeta Warszawska” 1859 nr 129.

Święci wołyńscy - Волинські святі

25. LECIE ODZYSKANIA I PRZYWRÓCENIA DO KULTU BOŻEGO KATEDRY PW. WNIEBOWZIĘCIA NMP W ODESSIE

W sobotę, 7 maja 2016 r., obchodziliśmy w odeskiej parafii katedralnej pw. Wniebowzięcia NMP w Odessie na południowej Ukrainie – wielki jubileusz ćwierćwiecza odzyskania i przywrócenia dla Kultu Bożego naszego kościoła katedralnego.

Przed Mszą Św. – po półgodzinnym Wystawieniu, o godzinie 10 – wyruszyliśmy w dziękczynnej procesji Eucharystycznej, z kościoła p.w. św. Piotra (jedynego czynnego na południowej Ukrainie kościoła za czasów ZSRR) do odeskiej katedry. Tym samym pokazaliśmy „*miastu i światu*" wiarę odeskich katolików zarówno duchownych i osób konsekrowanych, jak i osób świeckich.

Na uroczystej dziękczynnej Mszy Św., o godzinie 11.00 – było obecnych aż ośmiu biskupów: nasz ordynariusza bp Bronisław Bernacki, biskup pomocniczy Jacek Pyl, ordynariusz kijowsko-żytomierskim arcybiskup Piotr Malczuk (który przewodniczył Mszy Św.), biskup pomocniczy lwowski Leon Mały, ordynariusz Kiszyniowa na nieodległej Mołdawii bp Anton Cosa, ordynariusz diecezji pińskiej na Białorusi bp Antoni Dziemianko, ordynariusz grekokatolicki odeski – bp Michał oraz prawosławny biskup odeski patriarchatu kijowskiego. We Mszy św. uczestniczyli także biskup i pastorzy luterańscy.

W sierpniu 1991 roku, bo 56 latach od pierwszego zamknięcia przez bolszewików w 1935 roku, w 1991 roku dzięki staraniom ks. prałata Tadeusza Hoppego SDB (Salezjanina), jedynego kapłana pracującego w Odessie i na południowo-wschodniej Ukrainie w latach: 1958-1990, a także wiernych świeckich – władze ukraińskie zwróciły Kościołowi zagrabioną. A w 1949 roku zamienioną na salę sportową i ring bokserski – obecną katedrę p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Odessie.

Ks. Biskup Bronisław Bernacki
Fot. ks. Vitold-Yosif Kovaliv

Katedra Wniebowzięcia NMP w Odessie (ukr. Кафедральний собор Успіння Пресвятої Діви Марії) – świątynia rzymskokatolicka zbudowana w Odessie w latach:1844-1853 staraniem polskich i niemieckich katolików i z inicjatywy ks. Grzegorza Razutowicza, według projektu polskiego architekta Feliksa Gąsiorowskiego i szkicu włoskiego architekta Francesco Morandiego.

Kościół wybudowany został w formie bazyliki trójnawowej z transeptem zaznaczonym kopułą na planie krzyża. Wewnątrz użyto białego i szarego marmuru. W głównym ołtarzu umieszczono obraz Wniebowzięcia NMP z 1850 będący kopią Rafaela. Wnętrze zdobi wiele cennych obrazów i duże kryształowe żyrandole. Papież Pius IX podarował dla kościoła w 1852 marmurową chrzcielnicę. Obok kościoła pobudowano sierociniec, dom starców (z inicjatywy i funduszy ks. bp. Witolda Lipskiego) oraz szkoła katolicka i schronisko dla chłopców.

Jako kościół budynek został zamknięty (podobnie jak szkoła polska) w 1935 roku i przeznaczony pod klub bułgarsko-niemiecki a następnie pod muzeum krajoznawcze. W okresie niemieckiej okupacji w latach 1941-1944 kościół oddano wiernym. Władze sowieckie ponownie i ostatecznie zamknęły świątynię w 1949 roku i rozpoczęły jej dewastację. Wnętrze zniszczono zmieniając na halę sportową i wykonując w połowie wysokości dodatkowy strop. Do celów religijnych oddano budynek dopiero 9 sierpnia 1991 roku. Wówczas zaczęto remont przebudowanej i kompletnie zdewastowanej świątyni. W 2002 roku stała się katedrą nowopowstałej diecezji odesko-symferopolskiej (13 lipca 2002 roku). 24 sierpnia 2008 r. odbyła się rekonsekracja katedry. Odbudowa kościoła została sfinansowana niemal wyłącznie z datków polskich wiernych. Obecnie wszystkie informacje podawane są w języku ukraińskim, a Msze odprawiane w języku ukraińskim, polskim i rosyjskim [1].

Dzięki wytrwałej posłudze kapłańskiej śp. ks. prałata Tadeusza Hoppe SDB – wspólnota katolicka w Odessie przetrwała czas prześladowań i pięknie się rozwijała. Wymiernym duchowym owocem jego kapłańskiej posługi są powołania, którymi Pan Bóg obdarzył tą Wspólnotę.

Ks. Ignacy Ryndzionek SDB zajął się remontem odzyskanej w sierpniu 1991 roku prokatedry (obecnie odeskiej katedry p.w. Wniebowzięcia NMP), organizując w niej duszpasterstwo. W parafii p.w. św. Piotra proboszczem pozostał nadal ks. prałat, który funkcję tą pełnił do marca 2003 r. Na swojego następcę już pod koniec lat 90 – tych ubiegłego wieku przygotowywał ks. Stanisława Żaka SDB, który starał się o pozwolenie władz na pracę w Odessie. Po uzyskaniu w 1997 r. stosownych dokumentów, umożliwiających mu stałe zameldowanie i pracę duszpasterską, osiadł w Odessie. Pracował w parafii niespełna dwa lata – niestety zmarł On niespodziewanie – 13 kwietnia 1999 roku.

Pierwszym jak do tej pory biskupem ordynariuszem naszej diecezji jest Jego Ekscelencja Ks. Biskup Bronisław Bernacki. Urodził się on 30 września 1944 r. w Murafie, miejscowości położonej w regionie winnickim. Seminarium Duchowne ukończył w Rydze. Świecenia Kapłańskie otrzymał 28 maja 1972 r. w Rydze. Po święceniach pracował w miejscowości Bar, Czerniowce Małe i Murafa na Podolu [2]. W 1995 roku został proboszczem w Murafie. Od tego czasu był także wikariuszem generalnym diecezji kamieniecko-podolskiej. Konsekracja Biskupia miała miejsce 4 lipca 2002 r. – w Kamieńcu-Podolskim. Natomiast Ingres do Katedry w Odessie miał miejsce 13 lipca również 2002 roku. Za swoje motto biskupiej

posługi, Biskup Biernacki wybrał słowa „*Przez Maryję do Jezusa*" [3].

Nowa diecezja obejmuje obszar 138 tys. km kw., zamieszkany przez około 8 mln ludzi. Katolicy stanowią na tym terenie niewielki ułamek procentu mieszańców, co daje łącznie kilkanaście tysięcy dusz. Za patronów nowo powstałej diecezji obrano papieży męczenników – świętych Klemensa I i Marcina I.

Erygując diecezję odesko-symferopolską, św. Jan Paweł II nawiązał do dawnej diecezji tyraspolskiej. I choć stolica dawnego biskupstwa Saratów nie znalazła się w granicach nowej jednostki, to jednak objęła swym zasięgiem sporą część obszarów pozostających dawniej pod jurysdykcją biskupów tyraspolskich. Nowa diecezja przejęła po poprzedniczce swą specyfikę, związaną z kulturową i religijną odmiennością ziem u północnych wybrzeży Morza Czarnego i Półwyspu Krymskiego od pozostałych obszarów państwa ukraińskiego.

Katedrą biskupią nowej diecezji ustanowiono dawną prokatedrę diecezji tyraspolskiej p.w. Wniebowzięcia NMP w Odessie. Wraz z biskupem-nominatem ordynariuszem diecezji charkowsko-zaporoskiej Stanisławem Padewskim (ur. 1932) wszedł on w skład Konferencji Episkopatu Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie.

Zadanie, jakie spoczęło na barkach ordynariusza odesko-symferopolskiego, nie było łatwe. Mimo pozytywnych symptomów pozostawało nadal wiele nierozwiązanych problemów, w tym był brak odpowiedniego mieszkania dla ordynariusza diecezji. Wszystkie budynki należące niegdyś do parafii p.w. Wniebowzięcia NMP, jak również gmach seminarium duchownego diecezji tyraspolskiej zajęte były przez różnego rodzaju instytucje państwowe. Dopiero z czasem udało się wykupić lokal w przyległej kamienicy, w którym urządzono kurię biskupią oraz mieszkania dla księży i posługujących przy parafii sióstr. W Odessie są też liczne pamiątki polskie. W ciągu tygodnia odprawiana jest tam codziennie Msza św. w języku polskim, a w każdą niedzielę jedna z trzech, w której uczestniczy ponad 100 osób. W czasach carskich mieszkało w Odessie ok. 40 tys. Polaków, którzy mieli tam swój kościół. W parku miejskim stoi dziś pomnik Adama Mickiewicza, a w centrum miasta jego popiersie. Sama zaś katedra była budowana przez polskiego architekta, a projektowaniem wnętrza, przy odbudowie świątyni, zajmował się architekt krakowski Marek Cholewka.

Na frontonie katedry stoi pomnik Papieża Polaka Jana Pawła II, wykonany przez artystów z Chorągwicy koło Wieliczki. Jego uroczystego poświęcenia dokonał w 2008 roku – kard. Stanisław Dziwisz. Nie można też zapomnieć o bogatej i owocnej pracy charytatywno-wychowawczej polskich sióstr franciszkanek Rodziny Maryi, działających w konspiracji [4].

Łukasz Gron

Przypisy:

[1] „*Katedra Wniebowzięcia Najświetszej Maryi panny w Odessie*" // https://pl.wikipedia.org/wiki/Katedra_Wniebowzi%C4%99cia_Naj%C5%9Bwi%C4%99tszej_Maryi_Panny_w_Odessie

[2] Wspomnienia prywatne J.E. ks. bp Bronisława Biernackiego.

[3] "Pasterz diecezji. Biskup Bronisław Bernacki" // http://catholic.in.ua/biskupi-2/pasterz-diecezji/

[4] „Nowy ordynariusz diecezji odesko-symferopolskiej" // http://www.goniec.net/goniec/inne-dziaty/zycie-polonijne/nowy-ordynariusz-diecezji-odesko-symferopolskiej.html

Święci wołyńscy - Волинські святі

MOJE WSPOMNIENIA O KS. WŁADYSŁAWIE BUKOWIŃSKIM

Od redakcji:

Dnia 11 maja 2016 r. odszedł do Pana śp. ksiądz Bronisław Kant SDB (ur. 25 lutego 1930 r. w Glodeni w Rumunii) – w 86 roku życia, 69 ślubów zakonnych i 59 roku kapłaństwa. Autor wielu książek, w tym popularnej w latach 80. „*Kto to taki?*", oraz pierwszy i długoletni kierownik, później dyrektor Salezjańskiego Ośrodka Misyjnego. W 2004 r. przesłał nam swoje wspomnienia o ks. Władysławie Bukowińskim, które zagubiły się. Niedawno zostały odnalezione. Dlatego dopiero teraz je publikujemy.

Autor wspomnień
śp. ks. Bronisław Kant SDB (1930-2016)
Fot. /http:// www.salezjanie.pl/

Ksiądz Władysław Bukowiński przyjechał do Łucka z diecezji krakowskiej. Poznałem go w roku szkolnym 1937/38 w Szkole Powszechnej nr 4 przy ul. Szewczenki, do której w tym czasie uczęszczałem jako uczeń klasy drugiej. Dziś nie ma nawet śladu po tej szkole, wznoszą się tam bloki mieszkalne. Przypuszczam, że nie uczył religii we wszystkich siedmiu klasach, gdyż była jeszcze katechetka. Prowadził tylko z naszą klasą przygotowanie do pierwszej Komunii świętej. Ponieważ w tej uroczystości, jak to sobie przypominam, brały udział także dzieci ze szkoły nr 7, wnioskuję, że i tam również ksiądz Bukowiński prowadził przygotowanie. Obie te szkoły korzystały z małego kościoła w dzielnicy „Krasne" przy Seminarium Diecezjalnym. Dziś ten kościół należy do wiernych obrządku greckokatolickiego. Z innych szkół młodzież chodziła na Mszę świętą do katedry, dlatego nie wiem, czy ksiądz Bukowiński udzielał się również i w tamtych szkołach.

Na lekcje religii każdy uczeń musiał przynosić ze sobą książeczkę do nabożeństwa, z której ksiądz Bukowiński na lekcji często uczył nas różnych modlitw i pieśni. Książeczki wszystkie były jednakowe, wydane przez Kurię Biskupią w Łucku. Często polecał wyuczenie się jakiejś modlitwy na pamięć i za zdanie jej na lekcji, dawał obrazek. Dzięki temu, ponieważ miałem duże ambicje, byłem posiadaczem bardzo wielu obrazków. Raz otrzymałem obrazek świętego Jana Bosko. Przez lata starałem się dowiedzieć co to za święty, aż trafiłem do zgromadzenia salezjańskiego, założonego właśnie przez tego świętego.

Zdarzyło się raz, że omal nie straciłem wiary i to przez księdza Bukowińskiego. W każdą niedzielę prowadził on od balasek Mszę świętą szkolną w kościele na Krasnem. Ja miałem koleżankę o rok młodszą od siebie, chodziłem wtedy do klasy pierwszej. Jej rodzice nazywali mnie zięciem. Pewnej niedzieli moja sympatia rozmawiała w kościele podczas kazania księdza Bukowińskiego. On wziął ją za ucho i wprowadził do prezbiterium. To uraziło moją dumę rycerską. Postanowiłem, że już nigdy do kościoła nie pójdę, ale w następną niedzielę wystarczyły trzy klapsy i rozum wrócił na swoje miejsce.

Ksiądz Bukowiński był przeświadczony, że powinien sam wyspowiadać dzieci do pierwszej Komunii świętej, które przygotowywał. Stąd miałem trudności z pierwszą spowiedzią, gdyż ksiądz często bywał w gościnie w naszym domu, więc obawiałem się, czy się nie wygada z moich grzechów.

Dziś z perspektywy czasu, sam będąc od kilkudziesięciu lat kapłanem, widzę jakie trudności musiał przeżywać ksiądz Bukowiński przychodząc do nas w odwiedziny. Za każdym razem rodzina chciała się popisać moimi zdolnościami i kazała mi na pamięć odmawiać jakąś litanię, czy inną modlitwę, albo pieśń, a księdzu nie wypadało powiedzieć, by nie robili cyrku.

Z tych odwiedzin zapamiętałem, jak ksiądz opowiadał o swojej młodości. Był rozrywany w swoim środowisku, bo umiał zorganizować życie towarzyskie. Był też duszą wszystkich zabaw. Na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, po zakończeniu studiów absolwenci urządzili komers, podczas którego postanowili spotkać się za dziesięć lat, by się przekonać jaką kto wybrał drogę i jak mu się życie ułożyło. Jakież było zdziwienie kolegów i koleżanek, gdy ich kolega Bukowiński zjawił się jako świeżo wyświęcony kapłan.

Żył bardzo skromnie. Kiedy stawaliśmy do zdjęcia po pierwszej Komunii, nie wszyscy zmieścili się na ustawionych ławkach, niektórzy musieli uklęknąć, usiąść, lub nawet położyć się na ziemi, ksiądz kazał kościelnemu przynieść ze swego pokoju kołdrę i koc, by dzieci nie siadały na ziemi. (Mieszkał obok kościoła w seminarium.) Matki ze zdumieniem patrzały, że kołdra i koc były mocno sfatygowane. Podobno miał przedtem lepsze, ale komuś ofiarował, bo wspomagał często biednych.

Jego troska o młodzież wyrażała się również w tym, że po wkroczeniu Niemców do Łucka w 1941 roku, kiedy szkoły były zamknięte, opłacał naukę dla znajomych chłopców, zwłaszcza ministrantów. W ten sposób wraz z kolegą przerabialiśmy na tajnych kompletach szóstą klasę. Inny kolega uczęszczał do innych nauczycieli. Była to pomoc zarówno dla młodzieży, jak i dla nauczających. Trwało to ze trzy miesiące, potem trzeba było przerwać, bo zanadto interesowali się tym Niemcy i policja ukraińska.

Nieco później, przed Wielkanocą, wiedząc, że w wielu rodzinach jest głód, postarał się, by siostry zakonne napiekły chałek i później sam osobiście roznosił je w dużej walizce po rodzinach swoich dawnych uczniów. Skorzystałem wtedy i ja. Co za rozkosz była spróbować białej chałki po czarnym, jęczmiennym chlebie (częściowo z trocinami), którego i tak zawsze brakowało. Dorośli otrzymywali dwukilogramowy chleb na tydzień, dzieci do 14 lat na dziesięć dni. Jako proboszcz katedry zorganizował również dożywianie dla sierot. Ponieważ i ja się do takich zaliczałem (wychowywała mnie ciotka), chodziłem przez kilka miesięcy z rondlem do sióstr po zupę.

Najbardziej miłosierdzie księdza Bukowińskiego ujawniło się przez dożywianie jeńców sowieckich. Zanim się jednak nimi zajął, najpierw sam przeszedł przez więzienie. Wtrącony tam przez bolszewików, przesiedział w nim aż do cudownego swego ocalenia. Więzienie znajdowało się w dawnym zespole klasztoru jezuito w i przylegało do katedry (też dawny kościół jezuicki). Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w niedzielę 22 czerwca bolszewicy w ciągu dwóch dni wystrzelali wszystkich więźniów. W ostatniej grupie był ksiądz Władysław Bukowiński. Przy pierwszej salwie poślizgnął się i przewrócił, a na niego padały trupy innych więźniów. Przeleżał pod nimi do nocy. Kiedy się spod nich wydostał, już pierwsze czujki niemieckie wchodziły do miasta, a bolszewicy uciekli. Niemcy obfotografowali go jako ofiarę sowieckiego terroru. W tym czasie mieszkałem naprzeciw katedry. W tym samym domu mieszkali prawie wszyscy księża, gdyż po wejściu bolszewików do Łucka w 1939 roku wszyscy księża musieli opuścić seminarium. Tam też znajdowało się mieszkanie księdza Bukowińskiego. Po drugiej stronie tego domu w osobnym budynku mieszkał ksiądz Kobyłecki. Z naszego mieszkania jedne drzwi wychodziły na katedrę, drugie na rozległe podwórze, na którym często spotykałem księdza Kobyłeckiego. Dlaczego o tym piszę? Ponieważ spotkałem się z opinią, że to ksiądz Kobyłecki został tak cudownie ocalony. Zwłaszcza lansowały taką teorię siostry zakonne, ale to jest nieprawda, gdyż jak wspomniałem, spotykałem tego kapłana prawie co dzień na podwórku, a ksiądz Bukowiński, chociaż bardzo osłabiony (skóra i kości), zjawił się zaraz w katedrze i my, ministranci mogliśmy go na własne oczy ujrzeć. Nazajutrz władze niemieckie kazały właśnie księdzu Bukowińskiemu

Ks. Władysław Bukowiński w okresie pracy w Łucku

Fot. udostepniona przez Irenę Królikowską-Prasał

odprawić nabożeństwo żałobne na wspólnej mogile pomordowanych, która znajdowała się na placu katedralnym, by potem ekshumować wszystkich i porozwozić w różne miejsca. Część z nich została pochowana na sąsiednich skwerkach i trawnikach. Wkrótce więzienie zapełniło się jeńcami sowieckimi. Więzienie, jak i obszerny dziedziniec na którym kilka dni wcześniej dokonywano rozstrzeliwań, jak również mały odgrodzony plac obok katedry i więzienia, obecnie całkiem rozgrodzony. Obozy dla jeńców były jeszcze w kilku punktach miasta. Wszystkie te miejsca były zatłoczone jeńcami. Inne punkty były niewidoczne dla osób z zewnątrz, ale ów placyk widać było dokładnie. Jeńcy stali za kratą ogrodzenia i wyciągali ręce,

by im coś dać do zjedzenia, choćby surowego ziemniaka. Byli skazani na śmierć głodową. Ksiądz Władysław Bukowiński wraz z księdzem Zygmuntem Chmielnickim udali się do wojskowych władz niemieckich, by się wstawić za zgłodniałymi jeńcami. Dostali odpowiedź, że jeżeli parafia katedralna jest tak bogata i chce ich żywić, to Niemcy się zgadzają i mogą dać przepustki dla obu księży i dla sióstr zakonnych. Wówczas rozpoczęła się akcja karmienia jeńców. Ksiądz Bukowiński ogłosił z ambony, że każdy kto idzie do kościoła, niech weźmie ze sobą bądź to kawałek chleba, bądź ziemniaki, lub warzywa. Równocześnie siostry zakonne chodziły w porze obiadowej z wiadrami od domu do domu, by każda rodzina dała talerz zupy. Do jednego wiadra szły zupy mleczne i słodkie, do drugiego wszelkie inne, które można było mieszać. Inne siostry z przyniesionych do koszów przed kościołów warzyw gotowały jakąś zupę. A ponieważ nie było tego za wiele, ksiądz Bukowiński jako proboszcz katedry dodawał siostrom pewne kwoty, za które zakupywały więcej produktów warzywnych. W godzinach popołudniowych wychodziły siostry z wiadrami pełnymi zupy do więzienia karmić jeńców. Taka sielanka trwała około dwóch tygodni, potem Niemcy zabronili stanowczo pod pretekstem, że w więzieniu panuje tyfus. Nie wiem ile jest w tym prawdy, ale były pogłoski, że ten tyfus Niemcy sami spowodowali, by szybciej pozbyć się jeńców. Zmarłych wywożono wojskowymi ciężarówkami za most gnidawski w stronę Górki Połonki, gdzie ich zrzucano do dołów i zalewano, lub przysypywano wapnem. Z nastaniem mrozów lisy wygrzebywały ciała zmarłych i roznosiły po okolicy. Codziennie oglądaliśmy długie kolumny samochodów, wywożących trupy jeńców. Niestety, tyfus przedostał się do miasta i bardzo wiele ludzi nań zachorowało. Cudów w zaopatrywaniu chorych dokonywał wikariusz ksiądz Bronisław Pośko. Po Mszy świętej zabierał bursę pełną komunikantów i chodził od domu do domu z kapłańską posługą. Od tego sam się zaraził. Stołował się u kościelnego.

Pewnego dnia wrócił od chorych, położył bursę na stole i oświadczył, że nie będzie nic jadł, prosił tylko o szklankę herbaty. Żona kościelnego wyszła, by zaparzyć herbaty. Gdy wróciła, ksiądz Pośko już nie żył.

Księża Bukowiński i Chmielnicki zostali w niedługim czasie aresztowani przez Niemców. Tu chciałem dorzucić kilka słów o księdzu Chmielnickim. Po wejściu bolszewików 17 września 1939 roku został aresztowany i wywieziony w okolice Archangielska, gdzie pracował przy wyrębie lasów. Zachorował na jakąś dziwną chorobę, z którą miejscowy lekarz nie mógł się uporać. Zawiadomił komendanturę obozu, że dla dobra nauki warto jest wyleczyć księdza, a jedyny specjalista znajduje się w szpitalu we Lwowie. Został więc przetransportowany do Lwowa i tu go zastała wojna niemiecko sowiecka. Wyzwolony przez Niemców powrócił do Łucka. Pamiętam jak w zakrystii opowiadał o „*słupach lodowych*". Bolszewicy wyprowadzali więźniów na zewnątrz przy 60° mrozu i polewali wodą. Tak powstawały całe szeregi „*słupów lodowych*". Pewnego razu nad Łuckiem rozszedł się swąd palonego ciała. Ktoś puścił pogłoskę, że to ksiądz Chmielnicki został żywcem oblany benzyną i podpalony, ale to nie była prawda, gdyż został on wywieziony do koncentracyjnego obozu i tam zginął.

To tyle moich wspomnień o księdzu Bukowińskim (i nie tylko).

ks. Bronisław Kant SDB

Z życia Kościoła na Wołyniu - З життя Церкви на Волині

JUBILEUSZ CHRZTU POLSKI W ŁUCKU

Dr Kazimierz Szałata postawił dwa pytania związane z jubileuszem 1050. lecia Chrztu Polski

Majowa sesja Szkoły Katedralnej Uniwersytetu Otwartego UKSW w Łucku na Ukrainie poświęcona była jubileuszowi 1050 lecia chrztu Polski i jego znaczenia dla narodu oraz kościoła powszechnego. Spotkanie rozpoczęło się w niedzielę 15 maja od Mszy św. w katedrze świętych Apostołów Piotra i Pawła, którą odprawił i kazanie wygłosił **ks. proboszcz Paweł Chomiak**.

Sesję naukową w auli katedralnej poprowadził ordynariusz diecezji łuckiej i zarazem sekretarz generalny Konferencji Episkopatu Ukrainy **ks. bp Vitalij Skomarovski**. W pierwszym wystąpieniu kierownik Uniwersytetu Otwartego UKSW **dr Kazimierz Szałata** postawił dwa pytania związane z obchodzonym w tym roku jubileuszem. Pierwsze pytanie sformułował kiedyś wielki humanista XX wieku Raoul Follereau: „*Już ponad dwa tysiące ery chrześcijańskiej – kiedy zaczniemy być chrześcijanami?*” Drugie przywołane w wykładzie pytanie: „*Francjo, najstarsza córo Kościoła, co zrobiłaś z dziedzictwem chrztu św?*” postawione w 1985 r. przez Papieża Jana Pawła II we Francji. Jak zaznaczył wykładowca, należy zastanowić się kim byli byśmy, jak wyglądała by nasza kultura, jak wyglądały by na-

sze społeczeństwa, gdyby nie pojawiła się chrześcijańska wizja człowieka.

Następnie został odczytany tekst wykładu ks. prof. Józefa Grzywaczewskiego z Wydziału Teologicznego UKSW na temat znaczenia chrztu Chlodwiga dla Galii, Europy i kościoła powszechnego.

Trzeci wykład dotyczący znaczenia chrztu w kontekście kształtowania się państwowości Polski wygłosił kierownik Katedry Historii najnowszej UKSW **prof. Wiesław Wysocki**. Podczas wystąpienia zaprezentował najważniejsze wydarzenia z dziejów naszego narodu wpisane w dzieje chrześcijaństwa w Europie. Nie zabrakło także ciekawych informacji dotyczących niedawno zakończonych centralnych obchodów jubileuszowych.

Ostatni wykład poświęcony zagadnieniom związanym z najwcześniejszymi misjami ewangelizacyjnymi na ziemiach polskich wygłosił **ks. Vitold-Yosif Kovaliv**, założyciel i dyrektor ośrodka duszpastersko-wydawniczego „Wołanie z Wołynia". Jak zaznaczył, już szczątkowe świadectwa historyczne pozwalają postawić pytanie, czy rzeczywiście chrzest Mieszka I jest początkiem chrześcijaństwa na naszych ziemiach. Najprawdopodobniej Wołyń wraz z innymi rejonami południowej i wschodniej Polski jeszcze przed 966 rokiem były objęte misją wielkich Apostołów Słowian Cyryla i Metodego.

Przy okazji majowej sesji w Łuckiej Szkole Katedralnej goście z Polski odwiedzili teren Janowej Doliny (dzisiejsza miejscowość Bazaltowe), która jest jednym z ważniejszych miejsc związanych z aktami ludobójstwa z 1943 roku. Zostali przyjęci również przez Zarząd Stowarzyszenia Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu z **drem Sergiuszem Prokopiukiem** na czele. Na zakończenie pobytu badacz dziejów kresowych **Krzysztof Krzywiński** oprowadził delegację z UKSW po katedrze łuckiej.

Kazimierz Szałata
Fotorelacja Michała Szałaty
koordynatora Szkoły Katedralnej

Scripta manent - Napisane pozostaje - Написане залишається

KATOLICKI DISNEYLAND czyli „Maćki Dobrzyńskie” albo: Czas Apokalipsy nad Śmierdzącym Morzem. Z Ługańska raport II-gi, ostatni

Zdenerwowałem się!

Tak, czy wolno się denerwować na misjach? Czy księża maja żelazne nerwy? Wiadomo, że nie. Jak w każdej rodzinie, nawet w rodzinie misyjnej – i może zwłaszcza tutaj, ścierają się diametralnie różne poglądy. To tutaj powiedzonko „*szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie*” albo „*parochus gapa alter papa*” ma swoją własną historie – i z dawna tak się sprawy mają, że każdy proboszcz na Ukrainie sam sobie biskupem bywał i długo jeszcze będzie. Mieszkając 350 km od Charkowa, a 200 km od Doniecka tzn. najbliższych sąsiadów kapłanów rzymskokatolickich i biskupa, można się poczuć nie tylko misjonarzem i nabrać wiatru w skrzydła, ale równie dobrze można się wykoleić. Można na przemian wczuwać się w rolę satrapy, szarej eminencji – albo też na odwrót – odczuć pełną bezradność, stłamszenie... najczęściej jedno i drugie po trochu. U nas np. w Ługańsku, na księdza mówią nie inaczej jak tylko „*padre*” i z takim namaszczeniem jakby to słowo było równoznaczne lub zamienne dla słowa „*monsignor*”. Krótko mówiąc – byłem sobie takim monsiniorem przez półtora miesiąca. Starałem się pojąć i zrozumieć „*genius loci*”. Rozgryźć filozofię tego miejsca i praktykowanego tu duszpasterstwa... i oto co mi wyszło.

Ks. Jarosław Wiśniewski
Fot. Archiwum

Posłuchajcie!

1. PLUSY

W Ługańsku są dwie cichutkie, ale ambitne siostry. Dbają o parafian, a zwłaszcza o dzieciarnię i jak tylko się da zbierają je na różne akcje na miejscu i wyjazdowe. Oazy, rekolekcje, etc. Siostra Mariet-

ta niedawno rzuciła nawet pomysł, żeby zabrać dzieci na jeden dzień do Mariupola by się wykąpały w Morzu Azowskim, a to przecież ponad 300 km! Przekonałem ją, że to za daleko i za drogo. Zabrała je 30 km nad pobliską rzeczkę, którą miejscowi czasem pogardliwie nazywają „*waniuczka*" czyli śmierdząca. Choć w ten dzień nie było słońca i wykąpać się nie udało, tym niemniej sam pomysł rekolekcji nad „*śmierdzącym morzem*" przedni.

Spodobały mi się w Ługańsku codzienne nabożeństwa poprzedzone różańcem, zwłaszcza wieczorna Msza św. Męczące były dni przestępne, bo Msza w tygodniu 4 razy z rana, 3 razy z wieczora. Wprowadziłem wiec w dni przestępne dodatkowa Msze dla chętnych... dwie ukraińskie... język tu niezbyt popularny ale... przyjęli pomysł nowego człowieka, „*niech mu będzie*", tym bardziej, że mówiło się już o tym od dawna.

W tej parafii jest również codzienny Angelus z Litanią do Matki Bożej, jest też piątkowa koronka do Jezusa Miłosiernego. Jest sobotnia Msza Polska niezmiennie o Matce Bożej i każdy 13 dzień miesiąca cały różaniec ze Msza św. Wszystko trwa 2 godziny Fatimskie!

Zdawałoby się – kochają tutaj orędzie z Portugalii... o szczegółach powiem potem!

Najbardziej urzekły mnie tzw. Konferencje czwartkowe i niedzielne, już o tym pisałem wcześniej. Wziąłem się ostro za ostre tematy: Całun Turyński, krytyka pojęcia świętości i Czyśćca w ujęciu prawosławnego teologa Osipowa, jezuici, inkwizycja, Fatima... no właśnie i tutaj się zdenerwowałem. Temat zbiegł się najpierw z rocznicą eksterminacji Niemców nadwołżańskich i prelekcją pewnej damy z organizacji „*Wiedergeburt – Odrodzenie*" oraz z moją prywatną rocznicą... rocznicą wydalenia z Rosji. Proboszcz w lipcu lojalnie poinformował parafian, że jestem „*tą sierotą misyjną*" – ten banita, którego wydalono z Rosji, wiec pytań było wiele, a ja nie unikałem odpowiedzi. Z okazji prelekcji o Niemcach zrobiłem ulotkę z rosyjskim tłumaczeniem tekstu „13 sekretów Fatimskich". Pani, która zgodziła się zrobić 4 poprzednie ulotki na konferencje i robiła to z entuzjazmem dobrnęła do polowy tekstu i choć ma się za „*parafialną aktywistkę*" rozwaliła mi konferencję. Ludzie słuchali, bo ponoć potrafię gawędzić, tematy ostre, jest czego słuchać. Gdy przywołałem postać śp. prof. Zdrojewskiego i prałata Peszkowskiego, pokazałem książki o Katyniu i skomentowałem, ze Związek Radziecki to przestępcza organizacja (por. encyklika Piusa XII „*o bezbożnym komunizmie*")... tutaj 80 km od Starobielska „*pani sekretarka*" uniosła się i powiedziała w imieniu wszystkich, że „*my tego słuchać nie gotowi*"!!! Obecni nie podtrzymali buntowniczki, ale we mnie powstał niesmak... i myśl o nieuchronnym moim wyjeździe stąd... taka głupia ulotna myśl. Ufałem, ze jednak wybrnę z pułapki. Mam tu przecież kolegę z Polski, który myśli tak jak ja.

2. MINUSY

Podzieliłem się żalem z Proboszczem, który właśnie wrócił z Niemiec... i tutaj spotkał mnie policzek. Dobroduszny „*padre*", który nigdy się nie unosi, zamienił się w głaz również „*niegotowy słuchać moich racji*". Opowiedział mi najpierw jak wspaniałą i lojalną osobą jest jego sekretarka, a potem skwitował, że choć ludzie mi tego nie powiedzą, a jednak tak samo pozytywnie o ZSRR wszyscy myślą, i że on pamiętając, iż jest obcokrajowcem woli tego tabu nie ruszać i komunizmu nie krytykować, bo nawet dziś AD 2003 nie tylko z Rosji, ale i z Ukrainy można za to wylecieć...

Nogi pode mną się ugięły z wrażenia. Nagle mi się zdało że jestem nie na Ukrainie „*samostijnej*”, a w Korei Północnej nie przymierzając! Wszystkiego bym się spodziewał, lecz to był zgrzyt. Na Ukrainie, którą w latach 30-tych komuniści morzyli sztucznym głodem tak, że dochodziło do kanibalizmu, tej samej Ukrainie która już nie tęskni za Moskwą i papieża przyjęła z entuzjazmem, a i mnie rosyjskiemu banicie wbrew moim obawom dano rejestrację do końca roku... na tej właśnie Ukrainie jest katolicka parafia, której kolektyw (nie wyłączając proboszcza z Polski), żyje w aurze „*sowieckiej sielanki*”.

Ja wiem, proboszcz jest zakładnikiem parafii, którą z początku nazwałem „*polskim gettem*” (pomyłkowo przepraszam – byłem zbyt krótko), on nie ponosi winy, za to że getto jest jednak sowieckie bardziej niż polskie. Taki „*radziecko-katolicki skansen*” (schemat znany z Chin), tak jakby pierestrojki wcale tu nie było, a niepodległa Ukraina istniała gdzieś daleko na papierze.

Dlaczego wiec nazwałem artykuł „katolicki disneyland” i czemu się czepiam proboszcza? Jak wspomniałem w pierwszym raporcie i tutaj w punkcie „plusy” autora niesamowitej intelektualnej i modlitewnej atmosfery w tutejszej „domowej kaplicy”.

Odpowiadam:

3. CZAS APOKALIPSY

Po pierwsze skojarzenie wziąłem nie tylko z dziecięcych bajek „Walta Disneya”. To tylko polowa tytułu... druga część tytułu, istotna w tym samym stopniu, wzięta z Hollywoodu... zdaje się Francis Coppola, czy tez Milos Forman... (przepraszam nie pamiętam kto z nich) zrobił film „*Czas Apokalipsy*”. W tym filmie bardzo plastycznie ukazano jaki skutek może przynieść pomieszanie pojęć tradycyjnego wietnamskiego buddyzmu, gdy na to się nałoży wpływy radzieckie i zacznie w tym środowisku działać amerykański rebeliant – wódz... Będzie to o czym wspomniałem na początku: „*prześwietna schizofreniczno-komunistyczna enklawa na skraju świata*”, dobry temat zarówno dla dramatu kinowego jak i dziecięcej komedii.

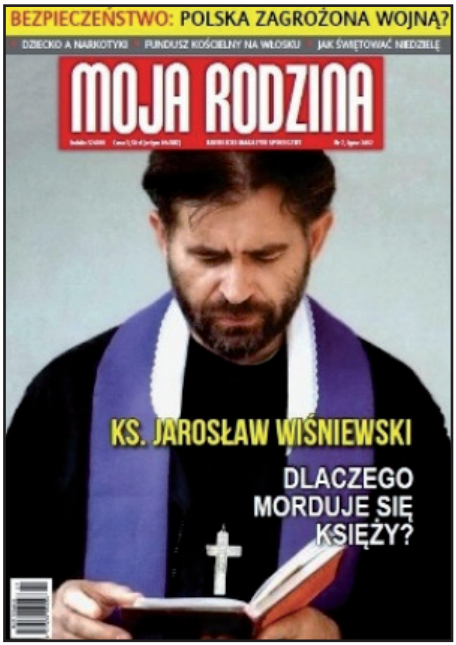

„W Polsce jak w byłych państwach sowieckich rządzą ludzie nienawidzący wartości, którym los religii jest w najlepszym przypadku obojętny”
(ks. Jarosław Wiśniewski)

Po drugie, jeśli moje (i nie tylko) misyjne apele, listy, natrętne wołanie o więcej kapłanów dla krajów post-sowieckich nie odniesie skutku, to ci „*sowieccy padre*”, którzy nadal na Wschodzie trwają na warunkach zakładników, bo w mniejszości będą się:

a) dalej wykolejać, nawet nie zauważając tego, wykłócając się przepychając pięściami i łokciami „*po trupach do celu*”, tak w urzędach jak i w parafii na modłę tyrana, póki przełożeni się nie zlitują i nie zabiorą na studia (…);

b) wpadną w szpony zsowietyzowanej parafialnej większości i będą „*krakać jak wszystkie wrony*”, ale będą płacić nerwicą i innymi schorzeniami (przykład z Ługańska);

c) wkurzać, denerwować, ulegać prowokacjom i wylatywać z kolejnych miejsc „*czasowego azylu misyjnego*”, (jak to się dzieje ze mną).

Innych zdrowych sytuacji duszpasterskich nie znam. Model polski czy europejski, daleko za górami. I winni jesteśmy my sami. Bośmy zostawili na pastwę losu mniejszościowy i zahukany Kościół na Wschodzie i pracujący tam episkopat, kler i ludek Boży.

4. MAĆKI DOBRZYŃSKIE

Tak wiec w rzeczy samej nie czepiam się proboszcza, bo mi go żal, że pracuje w takich schizofrenicznych warunkach, gdzie z jednej strony maja go za „pół boga” – „*mitycznego padre z bajki*”, z drugiej zmuszają do milczenia i kompromisu w kwestiach etycznych takich jak zbrodnie ZSRR. Do milczenia o Fatimie! O jej głównym przesłaniu, tzn. zbrodniach „*bezbożnej Rosji*” i konieczności jej nawrócenia.

Ja po prostu znowu się denerwuje na nasz polski zaścianek, w którym księży (Bogu dzięki), napleniło się jak „*Maćków Dobrzyńskich*” (z Pana Tadeusza), ale którzy zamiast ruszyć tutaj „*na kresowej glebie*”, gdzie prawdziwa „wojna napoleońska” się toczy wewnątrz malutkich katolickich wspólnot (a diabeł i spec-służby dolewają oliwy do ognia), tłuką się bez końca o probostwa, tytuły i pieniądze w komfortowych parafijkach polskich.

I to właśnie uważam za katolicki Disneyland... natomiast to co widzę tutaj na Wschodzie to jest „*misyjna apokalipsa*”.

Z góry przepraszam cały katolicki świat, który z Waltem Disneyem nic wspólnego nie ma. Wkładam kij w „*polskie mrowisko*” w nadziei, ze prawdziwe mrówki (zwłaszcza te młode, seminaryjne) dotrą na krańce świata i zarąbią sowiecka hydrę, której głowa odrasta bez końca!

Proboszczowi za gościnę w Ługańsku dziękuję, za mentorski ton też przepraszam.

Wiemy wszyscy, że prawdziwa cnota krytyk się nie boi.

Fabularny ton tekstu powinien go obronić... resztę „*Ecclesia suplet*” lub „*ars poetica*”.

Dlatego i jemu i „*Maćkom Dobrzyńskim*” tekst dedykuje... starym hasłem: „*do zobaczenia na misjach!*”

ks. Jarosław Wiśniewski
(też Maciek, bo rodem z Rypina Dobrzyńskiego)

Ługańsk, 10 września 2003 r. – w rocznice wydalenia z Rosji.